SKAUT

CZASOPISMO ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO NA WSCHODZIE

V NR. 3

MARZEC 1945

FOR MEMBERS ONLY NOT FOR SALE

T R E Ś Ć

R E D A G U J E K O M I T E T W S K Ł A D Z I E

hm. Józef Brzeziński, hm. inż. Bronisław Pancewicz,
hm. dr Wiktor Szyryński, hm. Józef Żuromski
Redaktor: działacz harcerski Stanisław PANEK
Okładka i linoryt: artysta malarz Tadeusz TERLECKI



WYDAWCA: ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO na WSCHODZIE

ADRES: Polish Forces Middle East 10

Zasięg: IRAN — AFRYKA — INDIE — NOWA ZELANDIA — EGIPT — PALESTYNA — SYRIA — WŁOCHY

Odbito w Drukarni oo. Franciszkanów w Jerozolimie. Dyrektor o Franciszek

BISKUP POLOWY W. P. – HARCERSTWU





II

Życzę Księżom Kapelanom, Instruktorom i Młodzieży Harcerskiej jaknajdoskonalszego wypełnienia przyrzeczenia harcerskiego, udzielam im z całego serca mego Błogosławieństwa pasterskiego.

+ Józef Gawlina
Biskup Polowy Wojsk Polsk.

Jeruzalem, 26.II.1945 r.

EPISCOPUS CASTRENSIS
EXERCITUS POLONI

RADA ZHP. NA WSCHODZIE
W JEROZOLIMIE

DROGA W CHRYSTUSIE BRACI HARCERSKA!

W czasie konferencji z przedstawicielami Z. H. P. na Wschodzie, zapoznawszy się z całokształtem pracy harcerskiej, stwierdzam z radością, że ta praca księży kapelanów, instruktorów i młodzieży harcerskiej nawiązuje w zupełności do ideałów i wypróbowanych metod wychowawczych Harcerstwa w Polsce. Służba Bogu i Polsce jest nadal celem waszego życia. Dziś jednak nie tylko musi Harcerstwo być łącznikiem pomiędzy rodziną, szkołą i kościołem, ale w sytuacjach trudnych musi stworzyć dla całej młodzieży warunki jak najbardziej zbliżone do rzeczywistości, w jakiej ona wkrótce znaleźć się może. Cieszę się z harmonijnej współpracy Harcerstwa z księżmi kapelanami, którzy tam opiekę duszpasterską sprawują, i z wojskiem, które, walcząc na tylu frontach, myśli ciągle o młodym polskim pokoleniu, któremu lepszą przyszłość chce wywalczyć.

Życząc Księżom Kapelanom, Instruktorom i Młodzieży Harcerskiej jak najdoskonalszego wypełnienia przyrzeczenia Harcerskiego, udzielam im z całego serca mego błogosławieństwa Pasterskiego.

† *JÓZEF GAWLINA*
Biskup Polowy Wojsk Polskich,
Biskup Polaków na Uchodźctwie

Jerozolima, 26. II. 1945 r.

Za bramą Twojej twierdzy są wąskie ulice.
Stoisz — a wieki płyną milczącym szeregiem:
na arrasach zielonych dzwonnic błyskawice
i purpura gotyckim haftowana ściegiem.

Tutaj w noce pożarów niebo ogień chłodzi,
rzucając z gór trzy cienie — krzyżów alabaster,
tu podczas żywiołowej, wiosennej powodzi
święty Krzysztof ratuje Dziecko z Twoim miastem.

O Matko pierwszych bólów i zachwytów pierwszych!
Słuchałem razem z Tobą, jak w wąwozach dudnił
pomruk dziecinnej grozy. Uczyłem się wierszy
o wojence, wojence — a szli głodni, brudni.

Matka mię prowadziła do Twojej kaplicy,
gdy w upale południa pod Twą Bramą, Pani,
szli zmęczeni nieludzko, wynędzniali, dzicy —
ci z piosenek — bez szabel i bez lanc: ułani...

Aż przyszedł ranek inny. Modrooka jesień
powiązała nad miastem kasztany i klony.
Przez bramę Twoją, Matko, słońce Polskę niesie.
Żołnierz pozdrawia miasto. Chrystus pochwalony!

A kochałaś ich zawsze jednako i wiernie,
jednako miałaś zawsze głowę pochyloną —
czy szli przez Ostrą Bramę wielcy, czy mizerni —
pod Twoim szli spojrzeniem i pod Twą obroną.

I dziś, Matko, na morzach, za igłą kompasu,
w podwodnej łodzi, w bunkrach, czy w myśliwcu chyżym,
w cieniu ścian okrwawionych, w biedach, ludzie z lasu —
— wracają do Twej Twierdzy — do miasta Trzech Krzyży.

* * *

Gdy wrócimy w dzień słoty — rozpal na katedrze
krzyż — i niech będzie jasno aż na żytnich polach,
gdy upał nas utrudzi, droga siły zedrze,
ochłódź nas, Matko, wiewem sosen z Antokola.

(Wiersz poety — żołnierza polskiego z Wilna)

ULICA RAFAŁA RADZIWIŁŁOWICZA

Domy na Antokolu są, jak gniazda. Rozsypane na zielonych wzgórzach lub w głębokich ukryte wąwozach. Zimą cicho śpią pod śniegiem, z wiosną toną w zieleni i w szczebiotach dziecięcych, pogodnych, niczym niekrępowanych.

Sosny na Antokolu są wysokie i patrzą w niebo. Nie zasłaniają horyzontu, jak stateczne bastiony wielkomiejskich kamienic, ale strzępią go koronką puszystej zieleni. Czasami sieją słońce i łowią białe gołębie obłoków, jak myśli jasne i beztroskie, to znów spozierają zuchwale w ołowiane chmury, co mrok nagarniają w wąwozy i przebiegają nad wzgórzami z wiatrem hulaszczym. Wtedy osypują się z drzew stada wron i czarnym krzykiem napełniają powietrze. Nocami księżyc skrada się wśród gałęzi i gra w chowanego z migotliwymi zwierciadłami szyb, ukrytych wśród sadów. Zakrada się do cichych domków i opowiada pogodnym brzdącom srebrne, czarodziejskie historie.

A po dnie mroków pełznie ze wzgórz uliczka, zaplątana w strumieniach i rozsypujących się sztachetach, daleka od gwaru śródmieścia. Wędruje po niej albo zatroskana niedola, albo miłość nieśmiała, cichsza od klekotu zabłąkanej dorożki i skromniejsza od słowiczego tremola.

Uradzili kiedyś Wilnianie, żeby tę właśnie cichą uliczkę ozdobić imieniem człowieka o pogodnym uśmiechu i sercu głębokim. Uczcili jego pamięć żywicznym kadzidłem sosen, radosnym gwarem dzieciarni i smutkiem biedy codziennej ludzi prostych i zatroskanych. Iście wileńska była to oznaka pamięci. Bo to już szereg lat minęło, jak się profesor na cichej Rossie osiedlił, gdy mu dopiero tę zgotowali pamiątkę.

Wiem, że rozmawiam teraz tylko z Wilnianami. To nasze sprawy własne, sąsiedzkie, zaściankowe nieomal. Mówimy gorącym szeptem o słonecznej przyjaźni pomiędzy miastem pogodnym, a mędrcem z duszą dziecka, filozofem głębokim spraw codziennych, ostrych konfliktów życia, którego ból starał się łagodzić swą wiedzą serdeczną i gorliwością cichego poświęcenia.

Jeślibym bowiem zechciał całą wygarnąć prawdę i wszystkich czytelników uczynić świadkami swojej sprawy, to bym zatytułował ten felioton po prostu: ulica Dra Judyma — i wszystko od razu stałoby się oczywiste.

Ale chciałem stąpać bezgłośnie, chciałem odkryć po prostu przed samym sobą przedziwną tajemnicę własnego do Wilna stosunku. Jak to się stało, że to miasto serdeczne wywędrowało ze mną na Wschód, wznosiło się w sercu Moskwy i teraz odbudowuje się we mgle smutku piaszczystej pustyni, jak fata morgana dziecięcego czarnoksięstwa. Co wiąże mnie i tylu innych ludzi z tym miastem, jak stary Rzym pobu-

W dniu 19 marca przypadają imieniny Józefa Piłsudskiego, Patrona Ideowego Związku Harcerstwa Polskiego, a dzień 24 III. wiąże się z TADEUSZEM KOŚCIUSZKĄ, który (urodzony w Nowogródczyźnie) w dniu tym na rynku Krakowa w roku 1794 składał przysięgę na wierność narodowi polskiemu. W roku 1914 z tych samych murów grodu Piastów i Jagiellonów JÓZEF PIŁSUDSKI, syn ziemi Wileńskiej, wyprowadził pierwsze oddziały zawiązków Wolnej Armii Polskiej. Czy to nie mówi wiele?

* * *

Obchodząc w tym roku te rocznice na waszych zbiórkach, poświęćcie ich program tym Ziemiom, z których oni pochodzą, a które w długiej historii krwią najlepszych synów pieczętowały swą przynależność do Państwa Polskiego.

Wy, którzy z tych ziem sami pochodzicie, najlepiej wiecie, jak bardzo są one związane z Polską, ile jest w nich ducha polskiego w zwyczajach i pieśni, ile z nich wyszło dzielnych Polaków, których wy sami pamiętacie, nie tylko z historii, lecz już z własnego życia.

Kończąc uroczyste zbiórki, poświęcone Ziemiom Wschodnim, zastanówcie się nad chwilą obecną, przywołajcie w pamięci waszych przodków, którzy od wieków piersią własną zasłaniali Ojczyznę przed zakusami wrogów z twardym hasłem na ustach:

S E M P E R   F I D E L I S

Zygmunt SZADKOWSKI, hm.

D O   M A T K I

Zadrży Ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych,
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, żebym Ci wróceniem moim lat przysporzył.
Mów, kiedy cię spytają, czy Twój syn powraca,
Że syn Twój na sztandarach, jak pies się położył,
I choć wołasz, nie idzie — oczy tylko zwraca.

Oczy zwraca ku Tobie... więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem Tobie smutek swój tłumaczy;
Lecz woli konający — nie iść na obrożę,
Lecz woli zamiast hańby — choć czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił!
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Trzeba by — toby Ciebie pewno nie opuścił.

Juliusz SŁOWACKI

M I Ł E   M I A S T O



Góra Zamkowa w Wilnie w 19 wieku

Słoneczna późnowiosenna pogoda. Na placu Orzeszkowej w Wilnie, naprzeciw kościoła św. Jerzego, całe ulice straganów i ludzkiego gwaru. Najbardziej w oczy rzuca się zieleń i kwiaty. Moc kwiecia: kwiatów ciętych i kwiatów w doniczkach — charakterystyczna cecha kiermaszu świętojerskiego, obchodzonego rok rocznie w dniu 23 kwietnia.

A w dwa miesiące później, 24 czerwca już w innym punkcie miasta, bo w ulicach i uliczkach przy uniwersyteckim kościele św. Jana, znowu tłum ludzi i znowu stragany i drażniący nozdrza zapach ziół najróżnorodniejszych, jakie tylko być mogą — kiermasz świętojański.

Jeszcze pięć dni i — tradycyjnie na placu przed kościołem św. Piotra i Pawła na Antokolu, później na placu Marszałka Piłsudskiego, dawnym Łukiskim, mamy nowy kiermasz, raczej wystawę ludowej sztuki wileńskiej w postaci tkanin, kilimów, chodników barwnych a czystolnianych, niedrogich a mocnych, że najdłuższe życie ludzkie z pewnością przetrzymać zdołają.

Lecz wszystkie te kiermasze niczym są w zestawieniu z najważniejszym dla Wilna i ziemi Wileńskiej kiermaszem, tym, o którym marzy się rok cały, tym, na który z najdalszych okolic się przyjeżdża, tym, na którym jest najwięcej towarów, najwięcej hałasu i zabawy.

Późny marcowy śnieg na placu Łukiskim, udeptany tysiącami

butów, w lepką maź się przemienił. Trąbki i harmonijki hałas niesamowity czynią, rozmowy i powitania znajomych, którzy z sobą z dawna się nie widzieli, mieszają się z krzykami kupców, zachwalających swe towary. Od katedry ciągnie barwny „Kaziuk", pochód w strojach historycznych, na ukwieconych samochodach, z tradycyjną postacią św. Kazimierza na czele.

Kiermasze wileńskie nie są do opisania. Trzeba je widzieć, by odczuć ich swoisty czar, szczególniej czar „Kaziuka", tak samo jak zresztą w ogóle trzeba się zżyć z tym miastem, aby je pokochać, ale już wtedy pokochać na zawsze. Mówił mi kiedyś jeden ze zwiedzających powierzchownie Wilno: — Owszem, to wcale ładne miasto, ale taka w nim dziwna pstrokacizna stylowa.

Józef Piłsudski, szukając wyrazu na możliwie dokładne określenie Wilna, nazwał je miłym miastem.

Obaj mieli zasadniczo rację.

Kiedy od strony Trok, dawnej stolicy przedchrześcijańskiej Litwy, zbliżamy się do Wilna i poczniemy zjeżdżać serpentynami z gór Ponarskich ku miastu, wyłoni nam się ono w całej okazałości, malowniczo rozrzucone nad brzegami Wilii i wpadającej w nią Wilenki. Strzelą w niebo wieżyce i kopuły kościołów, popstrzone tu, to tam „cebulami" przez Rosjan pobudowanych cerkwi. Wyłonią się zza rzeki ruiny zamku Gedymina, a obok góra Trzykrzyska z krzyżami. Dalej zaś wyjrzy zza zakrętów Wilii, w szczelinach lasów, Trynopol i odległe Werki.

„Miłe miasto" musi stwierdzić każdy, kto to widzi.

Lecz całkowitą pewność o tym, iż *miłe* to miasto, ma się dopiero wtedy, kiedy się je zwiedzi, kiedy się w szczegółach miastu napatrzy i w całej jego historycznej przeszłości, zaklętej w mury, w ulice, uliczki, zaułki i pełne niespodzianek podwórka, rozejrzy. Miłym miastem nazwał je Piłsudski, boć je znał od najwcześniejszych lat, boć było ono jego szkolnym miastem.

Na pierwsze miejsce w bohaterstwie ze wszystkich miast polskich niezaprzeczenie wybiła się Warszawa i pod tym względem żadne inne dorównać jej nie może. Ale tradycje Warszawy, istotnie wspaniałe, są krótkotrwałe w zestawieniu z tradycjami Wilna. Drugie pod względem bohaterstwa miasto nasze — Lwów ma przeszłość dłuższą, lecz raczej handlową. Ośrodkiem kulturalnym - w pełnym tego wyrazu znaczeniu - stało się ono ledwo w czasach porozbiorowych, a do okrycia się sławą „orlęcą" tylko z rzadka miewało sposobność.

Poznań miał swoją przeszłość, później ona jednakże zagasła, bo ją przyćmiła sława nowej stolicy Krakowa, który z kolei berło przodownictwa zmuszony był oddać Warszawie. Przez wszystkie owe czasy



Kościół św. Jana w Wilnie

Wilno nic nie traciło ze swego charakteru w północnych połaciach Rzeczypospolitej. Tradycję więc ma przebogatą.

Dzwonnica przy katedrze w dolnych swych kondygnacjach ma być podobno resztkami dawnej świątyni pogańskiej. Po czasach wczesnochrześcijańskich niewielkie pozostały ślady, bo je zatarły pożary i najazdy.

Jeśli chodzi o charakter miasta, to doskonałą ilustrację jego rozwoju mogą stanowić dzieje kościoła świętojańskiego, odczytywane z ukształtowania jego budowy. Kształty fundamentów świadczą, że zamierzono budować kościół romański, okna i szkarpy są zgodne z wymogami gotyku, ale budowla sama jest raczej wczesnobarokowa, w urządzeniu zaś wewnętrznym znać ślady i klasycyzmu XVIII wieku. Pokolenia wznosiły i ozdabiały świątynię, wkładając w tę pracę swoisty smak. Tak było i z całym miastem.

Zabytków romańskich w nim nie znajdziemy. Ale już gotyk ukaże nam Wilno: wczesny — w kościele oo. Franciszkanów, późniejszy u Bernardynów, a przede wszystkim w cudnym kościołku św. Anny, o którym Zygmunt August marzył, jako o swym grobowcu w okresie, gdy się znajdował na bakier z Krakowem, a o którym Napoleon powiedział, iż chciałby go na dłoni przenieść do Paryża.

Nawet czasy tragicznego dla Polski przełomu i schodzenia Jej z wolnego życia do podziemi zaznaczyły się chlubnie w tym mieście w rozwoju jego kultury. Katedra, parę pałaców w stylu klasycznym ośmnastego wieku są tego wyraźnym dowodem.

Ale cóż to, czy piszę przewodnik po Wilnie, żem się tak zaczął bawić w szczegóły stylowe?... Przecież ostatnio wielcy tego świata odmówili nam prawa do Wilna, po cóż więc nam przewodnik po mieście, którego oglądać nie mamy?...

Śmieją się z tego mury naszego miłego miasta, mają już bowiem swoje dziejowe doświadczenie...

To, co zaklęte zostało w zabytki, to tylko część znikoma dziejów jego ducha. Duch był silny, nieugięty. Przecież już nieraz miasto to od zachodniej kultury przemocą odrywano i wszelkimi sposobami starano się związać na zawsze ze wschodem. Cóż z tych wysiłków i trudów wynikło?... Było to wszystko nic innego, jak „syzyfowe prace".

Napady Chowańskiego dały trochę trupów w podziemiach, oo. Dominikanów. Okupacja rosyjska dała naleciałości powierzchowne wschodu, trochę cerkwi psujących styl miasta i urągających jego smakowi.

Duch jednak został przez cały ten czas nieugięty, jaśniał w Stowarzyszeniu Filomatów oraz Filaretów, promieniował w historii ich tragicznego procesu, wzbijał się na wyżyny w poezji emigracyjnej wilnian: Mickiewicza oraz Słowackiego, wdarł się na szczyty w akcji tak samo wilnianina Józefa Piłsudskiego, że już nie wspomnę nawet o pracach naukowych Uniwersytetu, o działalności Śniadeckich, Grodcka, Bobrowskiego, a przede wszystkim Lelewela, którego wysiłek życiowy



Fronton Katedry w Wilnie

znacznie wyszedł poza sferę studiów i sięgnął do dziedziny ideowo — politycznej w powstaniu i w Towarzystwie Demokratycznym na emigracji. Pod znakiem Wilna, można by powiedzieć, czego się dzisiaj jeszcze dobrze nie docenia, była cała polityczna dziewiętnastowieczna, jakże twórcza i wartościowa, nasza emigracja.

* * *

Połączywszy się z Polską, bardzo szybko Wilno poczęło brać wybitny udział w jej pracach kulturalnych. Później doszło do tego, że zaczęło przodować i to nie tylko mniejszym miastom na Litwie. Przecie, kiedy w Wilnie za czasów Batorego powstaje uniwersytet, Akademia Krakowska stoi bardzo nisko i Wilno wtedy wybija się bardzo wysoko.

W okresie, kiedy w Wilnie studia odbywa mistrz poezji naszej, Mickiewicz, na ziemiach naszych były wówczas zaledwie dwa uniwersytety: krakowski, nad którego wyrwaniem ze śpiączki i zreformowaniem mozolił się Kołłątaj, i wileński, który z własnego impulsu dokonał reformy, tak pożytecznej w swych skutkach.

* * *

Oddziedziczony przez nas z okresu Litwy przedchrześcijańskiej, jako język urzędowy tego państwa, język białoruski, Polska pieczołowicie przechowywała, stawszy się panią tych ziem. Nawet na pisma, pisane do króla w języku polskim albo po łacinie, odpowiadał nasz władca jako wielki książe, czyli obywatelom Litwy a nie Polski, jedynie i wyłącznie w języku białoruskim. W tymże języku sądy ferowały wyroki i prowadziły badania stron i świadków. Powstał więc niezmiernie ciekawy zbiór szeregu dokumentów, których usegregowanie z jednej strony według chronologii, z drugiej zaś pochodzenia ich dzielnicowego, daje ciekawy obraz rozwoju owego języka w czasie oraz w przestrzeni, obraz, który świadczy o wyjątkowej naszej tolerancji ówczesnej, a mimo to, a raczej może właśnie dlatego o przeogromnym naszym wpływie kulturalnym.

Gdzie w okresie zaborów najwcześniej rozbudziła się młodzież? Tam, gdzie powstało stowarzyszenie Filomatów i Filaretów-to znaczy w Wilnie.

Gdzie najdłużej utrzymywał się duch oporu i wierności, wykorzeniany przemocą, ideałom Polski niepodległej? Tam, gdzie zginął na szubienicy ostatni emisariusz wielkiej emigracji Szymon Konarski-to znaczy w Wilnie.

Skąd wyszła myśl ponowna walki o wolność Polski w oparciu o ideały społeczne, reprezentowane wówczas przez socjalizm? Stamtąd, gdzie myśl zużycia socjalizmu, jako pobudki do walki o powstanie pań-

stwa, zrodziła się w głowie syna wileńskiej ziemi, Józefa Piłsudskiego - to znaczy znów z Wilna.

A nie są to przecie tylko trzy wypadki wyjątkowe z dziejów ostatnich lat Miłego Miasta. A przecie dzieje te, gdy przyjdzie czas na ich odkrycie, uwydatnią światu, jak Wilno zostało po ostatnią chwilę polskim. Dzieje więzień wileńskich wykażą, ile mocy nieugiętej było w sercach polskich, szczególnie — rzecz ciekawa — w sercach młodzieży i kobiet.

Serce Syna tej ziemi, Józefa Piłsudskiego, spoczywające na Rossie pod strażą i opieką zwłok matki, pomimo przeszkód, jest otaczane wciąż największym kultem, jak gdyby mocy dodawało trapionym i prześladowanym...

Miłe Miasto!... Przeżyłoś już niejedną klęskę, już niejeden but obcy tratował twe bruki, już niejeden najeźdźca chełpił się i triumfował... Nie ugięłoś się i nie złamało.

Nie ugniesz się i nie złamiesz w ciężkich momentach dzisiejszych!

Beznadziejnie było w Twoich murach w r. 1919. Jednego wroga zmieniłaś na drugiego, a armia polska — daleka jeszcze i jakże jeszcze słaba — według ludzkich obliczeń nie mogła przyjść z pomocą. Szalenie przykro zapowiadała Ci się Wielkanoc w owym roku...

A wtem... z daleka zagrały armaty, zarechotały setki karabinów.

Na czapkach wkraczających do miasta żołnierzy polskie orzełki zabłysły. Naczelny Wódz do grodu triumfalnie wkroczył, do grodu który ongiś był szkolnym jego grodem...

Józef Piłsudski powiedział, że historia nie powtarza się nigdy... Lecz analogie historyczne zdarzają się nierzadko, a gdy duch się nie ugnie, wtenczas się muszą zdarzyć...

Dr Walerian KWIATKOWSKI

Na jarmarku kaziukowskim w Wilnie



wznoszą się piramidy beczek i dzieżek



MODLITWA O POWRÓT

Stoimy na szerokich gorejących frontach
żywą linią umocnień, zrębem pierwszej tamy.
Bóg nas ogniem rozpalił i burzą poplątał.
Ty jedna trwasz bez skazy — Twierdzo Ostrej Bramy.

Więc do Ciebie przypadli rozproszeni chłopcy:
żołnierz dalekich bitew i tej strasznej — bliskiej,
przecinający skrzydłem pułap mglisty, obcy,
lub wojnę skrywający wraz ze swym nazwiskiem.

Matko pagórków leśnych i rymów najprostszych!
Pani o brwiach łagodnych, jak zakręty Wilii!
Słyszymy Cię z daleka — słuch nasz się wyostrzył,
widzimy Cię w podziemiach — wzrok nasz się pochylił.



KOMENDANT ZHP
NA WSCHODZIE

GAWĘDA

Wilno i Lwów - to dwa miasta polskie, strzegące Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej.

Od wieków ogniskują one wokół siebie życie kulturalne, polityczne i handlowe tych ziem, które w historii narodu polskiego tak wielką odegrały rolę.

Dziś, kiedy nasz sąsiad od Wschodu wyciąga zaborcze ręce po te odwieczne ziemie polskie, warto przypomnieć kilka oczywistych prawd. Prawd prostych i tak jasnych, że nie mogą one budzić żadnych wątpliwości.

Z całą stanowczością możemy stwierdzić, że oba te miasta wyrosły i powstały pod wpływem kultury zachodniej.

Architektura tych miast czerpała wzory z Zachodu, tak jak cała nasza kultura bierze swój początek z kultury łacińskiej.

Na przykładzie stylu w budownictwie można tu wykazać niezbicie wpływy Krakowa, który był przetwórcą kultury Zachodu, dostosowując ją do naszych polskich warunków i do naszej polskiej psychiki.

Każdego, kto przybędzie do Wilna, uderzy od razu biel budynków i ich styl, tak podobny do miast zachodnich.

Badając historię tych miast, nie napotkamy na żaden ślad, któryby mógł stwierdzić, że powstały one pod wpływem Wschodu. Wszystkie zaś dane stwierdzą, że to wpływy Zachodu kształtowały ich wygląd, że stamtąd czerpano wzory, że stamtąd przychodzili architekci, którzy budowali kościoły, że stamtąd szły wpływy kultury duchowej i materialnej.

Miasta te-to stare centra nauki polskiej, to dawne miasta uniwersyteckie, które skolei wpływami swymi promieniowały bardzo szeroko.

Nie można tu pominąć milczeniem, że równie ważnym ośrodkiem kulturalnym był też i Krzemieniec.

Prawdom tym nikt nie potrafi zaprzeczyć. Nie potrafi ich sfałszować żadna wroga nam propaganda.

Lecz nie tylko wygląd zewnętrzny stwierdza polskość tych miast. Bez porównania wznioślejszym od niego jest ich duch, ich atmosfera.

Ich siła była tak wielka, że wpływem swym sięgały daleko, wyciskając wyraźnie polskie piętno na obszary przyległe.

Trudno w krótkiej gawędzie podawać, daty, cyfry i fakty. Wystarczy, jeżeli do tych kilku stwierdzeń dodamy jeszcze i te, które ściśle wiążą się z człowiekiem.

Wiadomo też od dawna, że tylko te ziemie, które stanowią nierozerwalną całość z pewnym organizmem państwowym, mogą wydać ludzi mocno związanych z danym terenem.

Wracając do naszych Ziem Wschodnich stwierdzamy, że wydały one dwuch największych poetów: MICKIEWICZA i SŁOWACKIEGO, których utwory są prawdziwą ozdobą literatury polskiej, zarówno pod względem języka, jak i ducha.

Skolei, gdybyśmy w historii Polski chcieli szukać innych wielkich Polaków, którzy swą osobowością zaważyli na losach narodu polskiego, to nieodparcie nasuwają się — KOŚCIUSZKO i PIŁSUDSKI — obaj przedstawiciele Ziem Wschodnich, którzy z nich wyrośli.

Na obu tych przykładach widać, jak bardzo Ziemie Wschodnie są polskie, skoro ich atmosfera duchowa potrafiła wydać tak potężne i tak w pełni polskie jednostki, które skolei swym przemożnym wpływem potrafiły wywrzeć tak silne piętno na bieg spraw polskich.

Tego nikt nie zaprzeczy!

Marzec to miesiąc, w którym Wileńszczyzna święci dzień swego patrona św. Kazimierza, to miesiąc, w którym przypadają daty rocznic, wiążących się z życiem naszych wielkich Polaków.

dowanym na wzgórzach... —

I zdawało mi się, że tajemnica stosunku między człowiekiem a nowym miastem, dokąd przybywa, leży zasadniczo w jego mieszkańcach. Ludzie są tłumaczami miast. Nasi rozmaici przyjaciele, zespoleni z miastami, uprawiają nieświadomie to serdeczne faktorstwo. Łączą nas z duchem miasta, serce swoje kładąc na progu do jego świetlicy...

Ludzie — tłumacze miast... Może tu leży podświadome źródło niepokoju, który towarzyszy wszystkim wiadomościom z tragicznego, dalekiego Kraju. Może dlatego lęk prowadzi oczy w poszukiwaniu imion przyjaciół i znajomych na listach żałobnej ofiary. Boimy się nie tylko o nich, boimy się o nasze miasta i okolice. Zostanie wprawdzie poufny kontakt z krajobrazem, ale te proustowskie więzy z miastami mogą się stargać bezpowrotnie.

I właśnie tropiąc swój własny szlak do serca Wilna, zawędrowałem na skromną uliczkę prof. Rafała Radziwiłłowicza, lekarza i mędrca, którego sylwetka natchnęła Żeromskiego do stworzenia popularnej postaci lekarza — społecznika.

Charakterystyczny bowiem jest los „Doktora Judyma" w Wilnie. Zdobył miasto, zasługując na miłość jego mieszkańców. Odkrył prawdę zwyczajną, że ten tylko z Wilnem się zaprzyjaźni, kto mu ofiaruje własne serce.

Bo lud wileński nie jest łatwy do zdobycia. Mili to ludzie, serdeczni i prości, znani ze swej gościnności. Nie odpychają przybysza, chętnie go przygarniają, zainteresują się jego troskami, pomogą ile się da, życzliwości nie szczędzą.

Ale niech nie myśli przybysz, że w ten sposób zdobył już serca gościnnych „Wilniuków". Niechaj mu się nie zdaje, że leżą one na dłoni, jak na straganach, w czasie sławnych „Kaziukowych" jarmarków leżą kolorowe pierniki w kształcie serca, które łacno schrupać można, a przy sprzyjającym apetycie nawet w pokaźnej ilości.

Otóż tu leży omyłka. Gościnne i życzliwe miasto głęboko chowa swoje serce. Prawda, że Wilnianin z zasady nie uprzedza się do nikogo, chętnie wierzy w dobre strony przybysza, ale serca tak łatwo nie kupisz. Można powiedzieć, że nie ma go wcale na giełdzie współczesnego życia, — w tym względzie panuje w Wilnie wyłącznie stara kupiecka tradycja — handel wymienny. —

Dlatego Wilnianie są też nieufni. Zresztą nieufność ta jest subtelna i przedziwnie dyskretna — kryje się za najpiękniejszą przesłoną życzliwości.

Stąd panuje w Wilnie tak przyjemny rodzinny nastrój. Ludzie, którzy zyskują to serdeczne prawo obywatelstwa, są uważani za członków wielkiej rodziny. Dziwią się często dziewczęta nieśmiałe i chłopcy

o jasnych, spokojnych oczach co, wysypawszy się z gniazd gimnazjalnych, do wileńskiej wszechnicy po dostojną wiedzę zjeżdżają, że ci wszyscy poławiacze mikrobów i gwiazd, czy burzyciele atomów, tak prości są i przyjaźni, zwyczajni, serdeczni ludzie. Stąd ta czarująca bezpośredniość, demokracja doskonała, co łączy w tym dziwnym mieście zarówno ,,inteligencję" między sobą, jak też wszystkich po społu, bez różnicy klasy społecznej.

Jakże więc z tego gościnnego miasta, w którego życiu tak znamienne miejsce zarezerwowano dla serca, nie nazwać po prostu ,,miastem miłości"?

— Ale uciszmy słowa. Spokojni Wilnianie przywiązują do nich wagę prawdziwą, nie lubią pustych fajerwerków frazesu. Jeśli nie mogą nazywać rzeczy prawdziwymi imionami, wtedy milczą i dlatego właśnie są tak często małomówni.

Jeżeli więc chcemy zobaczyć, jak wygląda ta promienna emanacja serca w naszym statecznym mieście, spójrzmy tam, gdzie to uczucie najrzadziej bywa fałszowane, skąd płynie, jak świeży, kryształowy potok po zboczu ponarskich pagórków. Ale zajrzymy cicho i zwyczajnie, żeby nie płoszyć prawdy ze srebrnymi skrzydłami legendy.

Zajrzymy do serc dziecięcych...

Nie darmo był obywatelelem Wilna Mickiewicz, guślarz wspaniały i nie napróżno czary fantastyczne z uczuciem sprawował, na przekór ciekawym szkiełkom uczonych śledzienników.

Tà prawda zaskórna uczucia, przez Mickiewicza w Wilnie odkryta, raz jeszcze rozbłysła najczystszym płomieniem.

Dnia 1 stycznia 1940 zamknięto nam Uniwersytet. Uparta nauka wileńska zamieszkała w domach prywatnych. Kończono prace, rozpoczęte jeszcze przed wojną. Była to twórczość gorączkowa, nieustępliwa, zawzięta. Byle nie roztrwonić już osiągniętych zdobyczy.

I w klinice, którą ongi prowadził prof. Radziwiłłowicz, była ,,na warsztacie" praca nad nowymi drogami w głąb psychiki ludzkiej, mająca na celu wypracowanie nowych metod poznawania ukrytych tajników duszy. Mimo wojnę, mimo okupację Wilna, praca szła dalej i właśnie zagarnęła w orbitę spostrzegania dzieci wileńskie. Magicznym wytrychem otworzono głąb tajemnicy marzeń, ukrytych jeszcze głębiej z powodu ogólnej atmosfery nieufności, właściwej okupowanym krajom. Spodziewano się jakichś kompleksów, jazgocących w podświadomości, jakichś freudowskich urazów, mrocznych i posępnych.

Tymczasem z marzeń dziecięcych buchnął jasny płomień tęsknoty do czynu, nieustępliwości snów o sławie.

Jak w czarodziejskiej bajce Andersena, nad głową biednego studenta, czytającego na poddaszu poezje, rozkwitają fantastyczne ogrody,

tak jasność niezwykła otoczyła serca, gdy przeglądaliśmy te rejestry marzeń dziecięcych. Szkoda, że nie ma ich tutaj, ale spośród kilkuset niektóre wryły się głębiej w pamięć:

,,Widzę, jak latają samoloty i kropią z góry nieprzyjaciół. Ja stoję na jakimś strychu z jednym panem i strzelamy z maszynki. Wrogowie padają, jak kłody. Mamy na czapkach orzełki" —

(Kochany psychologu, już myślisz, że to ,,ja" ma swoje znaczenie, że ,,ten jeden pan" tak ładnie pasuje do znanego ,,zjawiska adoracji", wiem, jak zgadujesz z tych znaków, że ten serdeczny smyk nie ma jeszcze trzynastu lat —).

I pamiętam jeszcze, że się nazywa Zbyszek, który marzy o takich ważnych sprawach.

— ,,Mój tatuś teraz jest na Litwie w obozie — ale prędko wróci i pójdzie bić Niemców. Ja jestem jeszcze mały, dlatego będę w domu pilnować matki. Wiadomo, człowiekowi ciężko żyć bez matki" —

I ten filozof serdeczny nie przekroczył dwunastu lat.

Czasami budzi się gniew.

— ,,Przyjdą polscy żołnierze i będziemy wypędzać intruzów.

A już nasz okupacyjny kierownik szkoły, nie wiem, jak cały wyjdzie, że był bardzo wredny dla Polaków".

Styl wypowiedzi wskazuje, że to malcy z ludu, gdzieś z przedmieść. A teraz mówi jeden z gimnazistów, tęgim, dojrzałym, jak na piętnastolatka, stylem, tworząc ciekawą wizję przyszłości:

,,Jest coraz gorzej. Nadeszła zima. Wszyscy chodzą obdarci i głodni. Czytają na parkanach plakaty z różnymi nieprawdziwymi hasłami. Ja też stoję i czytam. Nagle widzę bladą twarz naszego polonisty. Nazywaliśmy go ,,niedźwiadkiem", ale teraz jest wynędzniały i chudy".

A potem — po długim opisie nędz przeróżnych, jasna wizja: ,,wtedy przybiega do mnie Kazik i wariacko krzyczy" — o czym — wiadomo!

Odłożyliśmy szkiełka — bez żalu oddzieliliśmy małą cząstkę z tej masy słonecznych wizyj i puściliśmy ,,w kurs". Wędrowały te karty i miały moc większą od najgorętszej ulotki.

Czytało je Wilno i uśmiechali się ludzie poprzez łzy do tych malców buńczucznych, poważnych i dzielnych.

I ze Środkowego Wschodu leci do nich nasze pozdrowienie, do tych dziewcząt, co nie bacząc na augurowe oczy szpiclów, ustroiły się solidarnie w biało-czerwone kokardki na koncert chopinowski na Pohulance, do chłopców, co wbrew rozsądkowi ostrzeliwali na Ostrobramskiej czołgi nieprzyjacielskie, do mędrców pogodnych, co odwracali oczy wzruszeniem zasnute, czytając słoneczne raporty z serc dziarskich smyków.

Kiedy ptasi i dziecięcy szczebiot napełnia wiosną ulicę Rafała Radziwiłłowicza, wtedy nawet drzewa się cieszą i z gąszcza sadów pozdrawiają Wilno bogatymi kiściami bzów.

Oby co prędzej te bzy znowu zakwitły i dla nas.

Wiktor SZYRYŃSKI

POSTY W DAWNEJ POLSCE

Oprócz postów, od kościoła nakazanych, pobożni pościli poniedziałki, środy, piątki i soboty. W sobotę zachowywano post największy, obchodzono się o chlebie samym, raz na dzień język piwem nieco zakropiwszy. W insze dnie postne używano do potraw oleju lub oliwy. Piątki suszono, wstrzymując się od picia wina. Ci, którzy w nabożeństwie przesadzali, zamiast mięsa używali masła we dnie powszednie, to jest do postów nie przeznaczone; nawet nigdy nie jadali mięsa, lecz w miejsce tego używali ryb; za napój postny zwykle używano przewarzonej wody.

Kiedy w XVI w. Erazm Ciołek, biskup płocki, przywiózł z Rzymu papieskie pozwolenie, ażeby wolno było we środę mięso jadać, nie znalazł się wtedy nikt w całym królestwie polskim, który by chciał z pozwolenia tego korzystać.

Zmieniła się postać rzeczy za panowania Zygmunta Augusta. Na stypie, którą on ojcu swemu we środę na krakowskim wyprawiał zamku, po raz pierwszy pokazało się mięso na królewskim stole, z powodu, że przy nim siedzieli Niemcy postów nie zachowujący, których uraczyć trzeba było. To było hasłem do rozwolnienia postów tak dalece, że już niektórzy nawet w Kwietnią Niedzielą mięso jedli, udając, że niby cieszą się z tego, iż w następnym tygodniu Pan Jezus zmartwychwstanie.

. . . .

Postny obiad zaczynał się od zupy z piwa, po której pływały grzanki, miasto karasków. Następnie dawano różne potrawy rybne, zastawiając węgorze, śledzie, a obok nich wizinę i łososia, tudzież solone szczuki, karpie. Smakosze zajadali dziwnym sposobem przyprawiane węgorze. Nakropiwszy kawał sukna małmazją, obwijali nim rybę i piekli ją w gorącym popiele, obłożonym z daleka żarzącym węglem. Insze ryby inaczej przyprawiano. Karpia i lina gotowano z czarną juchą (sosem), jesiotra i szczupaka dawano w rosole. Śliże smażone z imbirem dawano z octem, suma i raki, tudzież sandacza, dorsza i pstrągi z masłem zastawiano. Na zimno jadano płotki, liny, kiełbie i flądry.

(Polska i Ruś aż do pierwszej połowy XVII wieku) W. Al. MACIEJOWSKI

G R E G O R I A N K I

W czasie uroczystości świętego Grzegorza, tj. 12 marca, z początkiem wiosny, prowadzą rodzice po wsiach do szkoły ustrojone swe dzieci, które Gregoriankami zowią. Zgromadzone żaki obchodzą uroczystość tę, świętem Gregorianek nazwaną, różnymi zabawami: tak np. bakałarza, udzielającego naukę, opasywano sznurem, nawleczonym obwarzankami; bakałarz uciekał a dzieci, szarpiąc obwarzanki, goniły za nim. Chodzą także dnia tego żaki po wsi, od chaty do chaty, śpiewając i odmawiając załączone tu mowy Gregorianek:

Ja mały żaczek,
Wylazłem na krzaczek,
Z krzaczka wpadłem w wodę,
Zbiłem sobie o kamień brodę.
Zobaczył Pan Jezus z nieba
Dał mi kawałeczek chleba
I obwarzanków kupę,
I białego sera łupę.
Ja mały maluta
Pogubiłem pamputa.
Chodziłem do nieba
Za kawałkiem chleba.
Chciałem się wrócić,
Nie chcieli mnie puścić.
Przyjmcie mię, państwo, za ciurę,
Będę ja łapał sąsiadową kurę.

Stoi ciura w płocie,
Będzie kij w robocie.
Jak urznie malutę poza ucha,
Zaraz bieda zostanie głucha.
Wylazłem na banię,
Powiadałem kazanie,
Powiadałbym jeszcze,
Ale mi się jeść chce.
Zleciał Anioł z nieba,
Dał mi kromę chleba,
A ja jemu za to
Trzewiki na lato,
Buciki na zimę
A sam hoc, kiec pod pierzynę.

(Pieśni ludu polskiego w Galicji)

Żegota PAULI

P R Z Y S Ł O W I A I P R Z E P O W I E D N I E

Kiedy marzec przeżył starzec — będzie zdrów,
kiedy baba w marcu słaba — pacierz zmów.
Suchy marzec, mokry maj — będzie żyto, jako gaj.
Na świętego Kazimierza wyjdzie skowronek spod pierza.
Na święty Kazimierz, dzień z nocą zmierz.
Czterdziestu męczenników jakich, będzie czterdzieści dni takich.
Święty Józek wiezie trawy wózek, ale czasem smuci, bo śniegiem przyrzuci.
Na Zwiastowanie jaskółki się ukazują, ludziom wiosnę zwiastują.

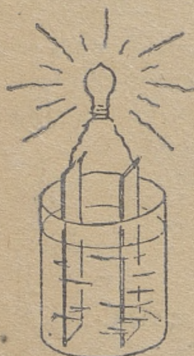
SKĄD WZIĄĆ PRĄD ELEKTRYCZNY?



Elektryczność wzbudza życie nie tylko w tysiącach potężnych aparatów i maszyn. Motory, tramwaje, telefon, dzwonki, radio — wszystko to jest nierozerwalnie związane z elektrycznością, z prądem elektrycznym.

Elektryczność jest zjawiskiem przyrody, jak zjawiskami jest światło, ciepło. Czasami występuje samorzutnie w postaci błyskawicy, czy pioruna. Nie umiemy jeszcze tych gwałtownych wyładowań wykorzystać dla naszych celów, choć uczeni pracują już nad tym i, kto wie, może wkrótce zabrana chmurom elektryczność poruszać będzie nasze pociągi... Tymczasem musimy się o tę elektryczność sami wystarać.

Jeżeli pałeczki szkła, laku czy bursztynu potrzemy kawałkiem jedwabiu albo sukna, to te pałeczki nabiorą takich własności, że będą mogły z niewielkiej odległości przyciągać kawałki papieru. Pałeczki się naelektryzują. To jest najprostszy sposób ujawnienia elektryczności, do celów praktycznych jednak się bardzo nie nadaje. Drugi sposób jest taki: jeśli wałek żelaza owiniemy drutem i przepuścimy przez zwoje tego drutu prąd elektryczny, to wałek żelazny nabierze wszelkich własności magnesu i będzie przyciągał sztabkę żelaza, która się znajduje w pobliżu. A spróbujmy odwrotnie. Weźmy prawdziwy, stały magnes i przysuwajmy go i oddalajmy od zwojów izolowanego drutu. Wzbudzimy w tych zwojach prąd elektryczny. Na tej zasadzie zbudowane są wszelkie dynamomaszyny, które wytwarzają prąd w elektrowni.



RYS. 1

To nie wszystko. Znamy jeszcze trzeci sposób zdobywania elektryczności, który tutaj dokładniej opiszemy.

Polega on na zamianie energii chemicznej na elektryczną, to znaczy, że przez działanie kwasów na odpowiednie metale otrzymujemy prąd elektryczny.

Jeśli do zwyczajnej szklanki, napełnionej wodą, zmieszaną z jakimś kwasem lub solą, wstawimy dwa kawałki różnych metali, na przykład blachę miedzianą

i cynkową, tak, jak na rysunku 1. i połączymy je drutem, to po pewnym czasie zauważymy, że drut będzie się ogrzewał, a jeśli drut przetniemy i włączymy w to miejsce maleńką lampkę elektryczną, to lampka będzie świeciła. Przepływać będzie prąd elektryczny.

Odkrył to zjawisko Aleksander Volta w roku 1799, a ponieważ opierał się w pewnym stopniu na spostrzeżeniach, dokonanych wcześniej przez Galvaniego, przyrząd ten nazwano *ogniwem galwanicznym*.

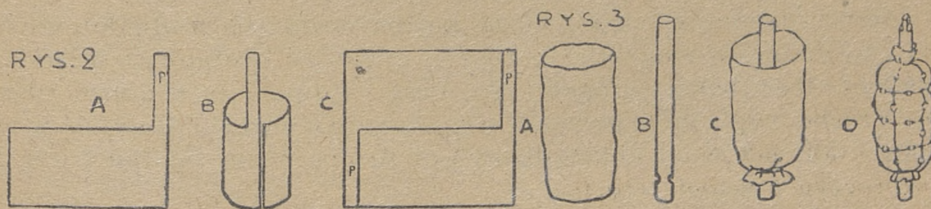
Opiszemy wam teraz, jak sobie samemu sporządzić bardzo praktyczną baterię elektryczną. Najodpowiedniejsza bateria dla naszych celów (do telegrafu, do dzwonków, do telefonu) powinna się składać z trzech — czterech ogniw galwanicznych. Objaśnimy wam, jak zrobić ogniwo galwaniczne. Pamiętajcie, że wszystkich części potrzeba nam będzie tyle, z ilu ogniw składać się ma nasza bateria.

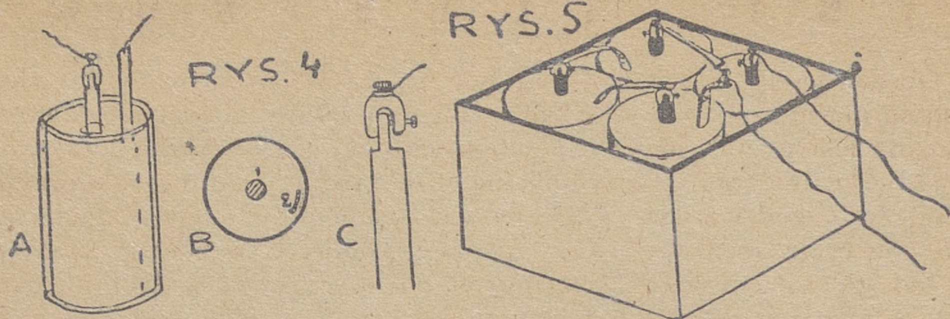
Potrzebny nam będzie do każdego ogniwa słoik szklany, wysokości koło 15 cm. Z grubej blachy cynkowej wytniemy płytę tej wielkości, aby po zgięciu jej w formę walca weszła luźno do słoja (rysunek 2 A i B). Płytę wycinamy z występem (p), aby ułatwić sobie późniejsze łączenie. A oto spójrzcie na rysunek 2. C, który pokazuje, jak można z jednego kawałka blachy wyciąć dwie takie płyty z występami i nie zmarnować materiału.

Wystarajmy się teraz o pałeczkę węgla, jak do lampy łukowej, grubości 1½ do 2 cm, a wysokości jakieś trzy, cztery cm, większej niż wysokość naszego szklanego naczynia. Tymczasem sporządzamy sobie woreczek lniany bez dna, rys. 3. A. W odległości 1½ cm od dolnego końca pałeczki wypiłujemy po obwodzie niegłęboki rowek. A teraz tę pałeczkę wprowadzimy do woreczka, który u dołu przywiążemy sznurkiem silnie do pałeczki w tym miejscu, w którym wypiłowaliśmy rowek (rys. 3. C).

Musimy się jeszcze wystarać o tyle dwutlenku manganu, aby zmieszany pół na pół z potłuczonym węglem retortowym (jak do lamp łukowych) starczył nam do napełnienia tylu woreczków, z ilu ogniw składać się ma nasza bateria elektryczna.

Tę mieszaninę potłuczonego węgla i dwutlenku manganu zwilżamy wodą i napełniamy nią, wciąż ubijając klockiem drewnianym, nasze woreczki, w których już tkwi przywiązana u dołu pałeczka węglowa,





i staramy się, aby nadać im regularne kształty walca.

Woreczek napełniamy tak wysoko, aby po uwiązaniu go na górze do pałeczki węglowej tak, jak na dole i jak na rys. 3. D sięgał dwa, trzy cm poniżej krawędzi szklanego naczynia. Woreczek owiązujemy jeszcze od góry do dołu i wokoło sznurkiem (rys. 3. D), na który nanizaliśmy szklane paciorki, by te po wstawieniu woreczka do walca z blachy cynkowej nie pozwoliły im się bezpośrednio zetknąć.

Teraz należy jeszcze dolny koniec pałeczki zanurzyć w gotującej się parafinie, aby po wyjęciu pozostała na nim warstwa parafiny, chroniąca od działania kwasu, a górny koniec należy spiłować tak, by można było umocować doń zacisk.

Wstawiamy do słoja walec z blachy cynkowej, do środka woreczek węglowy i nalewamy do słoja roztworu salmiaku (dostaniemy w składzie aptecznym) tak dużo, aby cały woreczek był w nim zanurzony (rys. 4. A).

Sporządzamy jeszcze przykrywkę z grubej tektury. Widzimy ją na rys. 4. B. Przez otwór 1. przesuniemy wystający ponad krawędź słoja koniec pałeczki węglowej z zaciskiem (rys. 4. C), a przez otwór 2. występ blachy cynkowej, do którego także umocujemy zacisk.

Zwykle kilka takich ogniw umieszczamy w drewnianej skrzyneczce i łączymy je w ten sposób, że w występie cynkowym jednego ogniwa wybijamy otwór tak, aby móc doń bezpośrednio przymocować zacisk węglowy. Czynimy to z wszystkimi ogniwami naszej baterii, aż pozostanie nam jeden wolny zacisk węglowy i jeden cynkowy, które nazywamy biegunami baterii. (rysunek 5).

Chcecie pewno wiedzieć, gdzie można dostać to wszystko, co jest potrzebne do urządzenia baterii. Blachę cynkową dostaniecie u każdego blacharza. Dwutlenek manganu, parafinę i salmiak w składzie aptecznym. Trzeba kupić dwie pałeczki węgla; jedną naciąć i umieścić w woreczku (tak, jak wam objaśniliśmy), a drugą utłuc miałko i wsypać do woreczka (węgiel retortowy).

S. T.

R Y B Y   G Ł Ę B I N O W E

Obszar wody morskiej, zajmujący 4/5 całej kuli ziemskiej, zawiera w sobie niezmierzone źródła życia. Za największe bogactwo oceanów uważana jest jednak niezliczona ilość gatunków ryb, zamieszkujących ich głębie. Jedne gatunki trzymają się bliżej powierzchni morza, szukając cieplejszych wód i miejsc, gdzie jeszcze promienie słoneczne docierają, inne całe życie spędzają wśród nieprzeniknionych ciemności, zimnych jak lód głębin morskich. Zależnie też od warunków, w których dany gatunek żyje i szuka sobie pożywienia, zmienia się jego wielkość, ubarwienie i narządy konieczne do zdobywania pokarmu lub obrony przed nieprzyjaciółmi.

Długo mniemano, że poniżej 200 m ustaje wszelkie życie, do tej głębokości bowiem tylko dociera światło słoneczne i rośliny, uzależnione w zupełności od tego światła, mogą się rozwijać; poniżej tafla wody nie przepuszcza już światła i świat roślinny przestaje istnieć. Nie dotyczy to jednakże świata zwierzęcego i, dzięki najnowszym środkom technicznym, zdołano stwierdzić, że nawet w głębokości kilku tysięcy metrów żyją rozmaite niezmiernie ciekawe ryby o przedziwnej budowie.



Ślepa ryba, złowiona w głębokości 4.400 m w Oceanie Spokojnym

Jedne z nich nie posiadają zupełnie oczu, tylko po ciele rozsiane punkty świecące, inne znów mają nieproporcjonalnie duże oczy, a pod niemi podłużne latarnie, rzucające światło przed rybę, jeszcze inne błyszczą po obu bokach całymi rzędami takich latarek, wydających równocześnie światła zielone, niebieskie i czerwone. W nieprzeniknionym mroku głębin wciąż biegną i krzyżują się jakieś sygnały, zapalają się i gasną tajemnicze kolorowe latarnie: to mieszkańcy tych głębin rzucają znaki rozpoznawcze, torują sobie drogę lub też zwabiają pożywienie samorodnymi, elektrycznymi światłami.

Między innymi żyją tam także ryby - głowacze, posiadające jak gdyby

tylko samą głowę o potwornym pysku. I one mają lampkę elektryczną, umieszczoną na głowie, którą umieją się doskonale posługiwać przy polowaniu na zdobycz. Już sam wygląd tej ryby świadczy, że musi się ona cieszyć doskonałym apetytem. Paszcza rozcięta szeroko ukazuje trzy rzędy długich, żarłocznych zębów, zakrzywionych ku środkowi. Biada nieszczęsnej ofierze, która się na te ostre szabelki dostanie, każdy ruch tylko ją mocniej na nie nabija i musi zginąć. Zdarza się nawet czasem, że zdobycz jest większa od samego myśliwego, ale ryba ta tak szeroko potrafi rozdziawiać paszczę i rozciągnąć żołądek, że i w takim wypadku umie sobie poradzić.



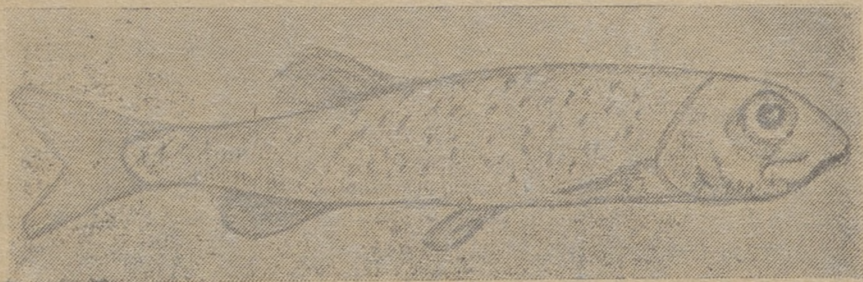
Potworna ryba głębinowa z reflektorem na słupku

Ryby tego gatunku nie są zbyt wielkie, przeważnie długość ich ciała nie przekracza 15 cm, bardzo rzadko tylko spotyka się osobniki o długości 1 metra. Barwę mają ciemną, prawie czarną, co odpowiada zupełnym mrokom, w których żyją. Ta barwa właśnie ułatwia im bardzo zdobywanie pokarmu.

Małe rybki widzą tylko ruchomą latarnię na cienkim słupku, a nie dostrzegają potwornej paszczy pod nią, która je pochłania.

To też w głębinach morskich, gdzie żyją tylko pasożyty lub drapieżce, każde zwierzę jest zaopatrzone w jakieś stosowne narzędzia obrony, a gdy tych brak, jeszcze błyskawiczna szybkość ruchów może być doskonałym środkiem ratunku.

Janina RYBCZYŃSKA



Ryba głębinowa, złowiona w Oceanie Atlantyckim w głębokości 1993 m.
Oczy bardzo duże, pod nimi latarnie

Z PAMIĘTNIKA ZIEMI

Półwysep Apeniński należy do najmłodszej części Europy (NEOEUROPA), która to część z początkiem czasów „dzisiejszych" (w znaczeniu geologicznym) — wyłoniła się ponad fale morza, zwanego Tetydą. Wynurzanie się było spowodowane fałdowaniem osadów, nagromadzonych od wieków na dnie morskim a naciskanych przez potężny ląd afrykański (Gondwana), nasuwający się od południa, (kontynenty mają „pływać" po ognisto-płynnej magmie).

W swej wczesnej młodości Europa południowa ulegała często potężnym trzęsieniom ziemi. Kataklizmy te powodowały liczne pęknięcia, wylewy law wulkanicznych oraz zapadnięcia się pewnych obszarów. Do takich właśnie zapadlisk — geologicznie młodych — (kilka milionów lat temu) należy Nizina Lombardzka, zwana również od swej największej rzeki Niziną Padańską.

W powstałe zapadliska wciskało się morze. Toteż zdziwilibyśmy się bardzo, gdybyśmy mogli spojrzeć o parę milionów lat wstecz, w tak zwany okres plioceński — na kartę ówczesnej Italii.

I oto ujrzelibyśmy, że w miejscu, gdzie dziś wznoszą się domy miast Porli, Frenzy, Bolonii, Padwy i Mediolanu — szumiało morze, a Turyn byłby portem. Również w tym czasie (pliocen) dnem morza były okolice Florencji (brzeg), Rzymu, Neapolu, Taranto, Bari i Ancony. Ogólnie — w miejscu, gdzie dziś jest Półwysep Apeniński, znajdowało się kilka drobniejszych wysp, jak: Kalabria, Apulia i inne, oraz jeden większy półwysep, obejmujący dzisiejsze Apeniny Środkowe i Północne, połączony wąskim pasem lądu (Apeniny Liguryjskie) z Alpami Nadmorskimi (pogranicze Francji).

Mimo woli nasuwa się pytanie, a gdzie podziało się to morze, a zwłaszcza ta „Zatoka Lombardzka"?.

Otóż w tych w stosunku do życia człowieka dawnych czasach, a niedawnych w życiu ziemi, zarówno Alpy jak i Apeniny były znacznie wyższe niż obecnie i bogatsze w strumyki i rzeki, które, spływając w ciągu tysiącleci, znosiły ku Zatoce Lombardzkiej żwiry, piaski i namuły — zasypując ją metr po metrze. Wielką rolę w tym dziele odegrały — czasy lodowe, które przeżywała Europa przed kilkudziesięciu tysiącami lat.

W okresie zlodowacenia (dyluwium) z Alp spływały na podnóże potężne języki lodowcowe, obładowane kamieniami itp. (moreny). Na podgórzu panował klimat cieplejszy, co powodowało gwałtowne tajanie lodów i opadanie niesionych przez nie głazów, zaś drobniejsze żwiry i piaski były unoszone dalej przez licznie wówczas płynące rzeki.

W tej walce z morzem największym bojownikiem była i jest rzeka Pad (Po). Niesie ona corocznie takie masy piasku i namułu, że po prostu w oczach ludzkości (od czasów staro-rzymskich) wydarła morzu spory kawał, zwany Deltą Padu. Część zniesionych przez wody materiałów opada już po drodze, powodując stałe podnoszenie się dna koryta rzeki. W potamologii — (nauce o rzekach) przynosi sławę Padowi ta jego oryginalność płynięcia wbrew zasadom, przyjętym przez rzeki w poziomie wyższym niż otaczająca go okolica. Ludziom przysparza to wiele kłopotów w związku z koniecznością budowy coraz wyższych wałów dla ochrony przed zalewami.

Kończąc, zdajemy już sobie sprawę, że Pad wraz z swymi dopływami pokonał morze i stworzył nizinne równiny Północnej Italii.

Wiesław RYBOTYCKI

ANUSZ KORCZAK

ZALETY — WADY

— Powiedz szczerze: czy jesteś porządny, dobry chłopiec?

Odpowiedzi:

— Nie wiem.

— Raz porządny, a raz tak sobie.

— Zdaje się, że porządny.

— Czasem coś mnie skusi.

— Chyba nie bardzo.

— Często mi różne wariactwa przychodzą do głowy.

— Sam, to nie robię nic złego, chyba że mnie namówią.

Rozumie się, że nie pytam pierwszego lepszego, a tylko wtedy, gdy powie, co myśli naprawdę.

Każdy człowiek ma zalety i wady, każdy inne. Jeden ma więcej zalet, drugi więcej wad. Są wady więcej i mniej dokuczliwe, jawne, lub ukryte. Czasem wada jest bardzo przykra dla otoczenia, czasem dla tego, kto ją ma. Z jednymi wadami łatwo sobie poradzić, z innymi trudno. Czasem nie wiadomo nawet, czy coś jest wadą czy zaletą człowieka.

Dlatego nie łatwo zrozumieć i poznać prawidła postępowania i poprawy, dlatego na pytanie: „czy jesteś porządny", trudno od razu odpowiedzieć.

Ruchliwość, żywość — zalety na lekcji gimnastyki, są wadą podczas arytmetyki, wada w ciasnym mieszkaniu, a zaleta na wsi. Oszczędność jest zaletą, a skąpstwo — wadą; a przecież skąpstwo jest tylko za dużą oszczędnością.

Zaletą jest skromność, ale wadą — nadmierna wstydliwość. Wstydliwość podobna być może do uporu i skrytości, — i nawet dorośli często się mylą. Czasem dobroć jest lekkomyślnością i zamiast pożytku przynosi szkodę: trzeba umieć rozumnie odmawiać, gdy proszą. Ile mają przykrości, którzy pożyczają rzeczy potrzebne, a nawet nie swoje.

— Dlaczego pożyczyłeś?

— Bo prosił.

— Czy nie wiesz, że on zapomina, gubi i nie oddaje?

— Wiedziałem.

— Dlaczego pożyczyłeś nie swoją książkę?

— Prosił, myślałem, że odda.

Samolub nazywa dobroć głupotą i twierdzi złośliwie, że nie warto być dobrym. Przeciwnie, warto i należy przysłużyć się i okazać pomoc, ale trzeba pomyśleć.

Źle, jeśli ktoś mało się zastanawia, ale nie dobrze, gdy za długo myśli i waha się i nie może się ważyć na czyn. Ufność może być i zaletą i wadą.

Ciekawość i wścibstwo — to wada; ale nie dobrze, jeśli kogo nic nie obchodzi, nie interesuje się niczym.

— Eee tam, nie warto, co mi do tego?

Jeden zanadto ceni siebie, drugi zaś mało. Jest drapieżna ambicja, jest szacowna duma.

Długo mógłbym jeszcze wyliczać, a nie powiedziałbym wszystkiego.

Oto dlaczego w tej plątaninie trudno się połapać. A dodać jeszcze muszę, że nawet dorośli przeszkadzają czasem zrozumieć.

Jeden mówi:

— Chcę żeby chłopiec był taki, jak ja.

Po pierwsze młody nie może być taki, jak stary. A po drugie, i ja mam wady i nie chcę wcale, żeby oni mieli podobne.

Drugi mówi:

— Dzieci powinny się słuchać; malec powinien być taki, jak chcę i każę.

Po pierwsze, czy pewien jestem, że zawsze mam słuszność, a po drugie: czy on może, czy choćby chciał, może być taki, jak mnie się podoba. Czy zawsze może być taki?

Dawniej bolało mnie i gniewało najwięcej, jeżeli zrobił coś złego nie łobuz, a właśnie porządny. Mówiłem z wyrzutem:

— Ja ci ufałem. Nie spodziewałem się. Zrozumieć nie mogę. Sam nie wiem, co robić.

Teraz już rozumiem, że nikt nie jest aniołem, i wiem, że należy tylko powiedzieć:

— Staraj się tego nie robić.

Nie należy ani spodziewać się ani żądać za wiele, bo to zniechęca i dobrych i złych.

Jeden mówi rozgoryczony:

— Mnie już nic nigdy nie wolno.

A drugi mówi:

— Nie warto się starać; i tak wszystko na nic.

Każdy musi wierzyć, że może się poprawić, że ma nie tylko wady, ale i zalety.

Przekonałem się, że często chłopiec dlatego tylko ma wiele zatargów z otoczeniem i dużo cierpi, bo myśli:

— Jestem zły.

Nie zna dokładnie swych wad, więc nie wie, z czego ma się poprawić! Mówi:

— Już nigdy tego nie zrobię.

I chce, żeby się od razu udało i zupełnie i raz na zawsze.

— Nie zawsze przecież tak bywa. Wpada w gniew.

— Trudno, już taki jestem i taki zostanę.

Albo gorzej jeszcze:

— Jeżeli staram się, a nie pomaga, więc na złość będę jeszcze gorszy.

Niech robią co chcą.

Czasem dostrzega, że nie jest wcale najgorszy, więc pyta się:

— Czego właściwie ode mnie chcą? Dlaczego się tylko gniewają?

Często spokojnym łatwo, więc to wzbudza gniew i zazdrość:

— Ciepłe kluski... Laluś... Mamin synek... Pieszczoch... Cicha woda... Beksa.

I cierpi dziecko uczuciowe, a bezkarnie myszkują koledzy z cichymi wadami. A dokuczanie psuje i tych i tych.

Raz, bardzo dawno, przyszła do mnie matka z chłopcem.

— Już dłużej nie mogę wytrzymać! — Nieuk, włóczęga, ulicznik. — Dawniej bicie pomagało, a teraz nie.

Ten chłopiec wysłany został zagranicę. Dziś jest sędzią.

Drugi, z którym rodzice nie mogli sobie poradzić, jest nauczycielem gimnastyki. Trzeci marynarzem.

Wiele sami się nacierpieli i wiele rodzicom przysporzyli zmartwień. Teraz jest dobrze.

Trzeba się porozumieć, trzeba się pogodzić. I trzeba przebaczać. Często wystarczy przeczekać.

Nawet najlepsi mają gorsze tygodnie. Jedno się nie powiedzie, a potem wszystko się wali: i w szkole się nie udaje i w domu, i sam człowiek nie wie, dlaczego.

Zauważyłem, że chłopcy najwięcej wojują we wrześniu i w maju. We wrześniu pamiętają jeszcze wakacje, swobodę, a teraz trzeba siedzieć w pokoju. Na wiosnę, gdy przyjdą pierwsze dni ciepłe, już tracą cierpliwość, są jakby pijani. Nawet w gazetach się czyta wtedy, że ten i ten uciekł z domu.

Naprawdę nieprzyjemnie czasem, ale mówię:

— Trudno.

Czasem ktoś się bardzo pilnuje: obiecał sobie, że już się poprawi, i udało mu się. Nic złego nie zrobił, nikt się nie gniewał. A pierwsze dnie najtrudniejsze. Już myśli, że tak zostanie, już myśli, że jest jak wszyscy. Zmęczył się tym staraniem. Bo podczas próby poprawy unika się zabawy, więcej się siedzi nad książką, unika się wszystkiego, żeby coś się nie stało. I oto nagle katastrofa. Znów. Wtedy przychodzi właśnie najgorszy tydzień.

Znałem chłopca, który się bił, czasem po dwa i trzy razy dziennie. Nie mógł dać sobie rady z tą wadą. Poradziłem:

— Bij się raz dziennie.

Zgodził się. Miał silną wolę.

Założyliśmy się o dwa cukierki na tydzień:

— Jeżeli nie będziesz miał więcej, niż siedem bójek, ja tobie dam na tydzień dwa cukierki, jeżeli przegrasz, ty dajesz.

Tak trwało cztery miesiące.

Z początku zakładaliśmy się tylko o bójki w domu, potem w domu i w szkole. Z początku o 7 bójek, potem o 6, o pięć, o cztery, trzy, dwie, jedną bójkę na tydzień. Wreszcie o zero, ani jednej. Potem zaczął się zakładać o kłótnie.

Pamiętam jego ostatnie zwycięstwo.

Stał wtedy na schodach. Akurat inny chłopiec zbiegał szybko i potrącił, więc go odepchnął. Ale tamten też kogut: pchnął — A on: zaczerwienił się, zmarszczył brwi, zagryzł wargi, zacisnął pięść. To trwało chwilę. Nagle zerwał się, pędem zbiegł ze schodów prosto na podwórze. Tam długo stał, czekał aż się uspokoi.

Kiedy nadszedł dzień naszego zakładu, powiedział z uśmiechem:

— O włos byłbym przegrał; już mało się nie pobiłem.

Teraz ten chłopiec jest już dorosły; powiada, że dzięki zakładom odzwyczaił się od bójek.

Takich zapisanych w moich zeszytach zakładów jest już chyba 50.000, takich zakładów mam co tydzień z różnymi chłopcami i dziewczynkami 50 i więcej. — Tu nie o cukierki chodzi, a o zwycięstwo.

Zakładają się, żeby wstawać zaraz po obudzeniu, żeby się myć porządnie, żeby się nie spóźniać na posiłki, żeby czytać co dzień 15 minut, żeby się nie wyrywać w szkole, żeby nie stać w kącie, żeby nie zapominać, nie gubić, żeby nie wtrącać się, nie zaczepiać, nie dokuczać, nie przezywać, żeby z kimś nie rozmawiać, żeby codzień starannie przepisać pięć wierszy, żeby myć zęby. — Żeby coś robić albo czegoś nie robić.

Trudno odzwyczaić się od kłamania. Jeżeli ktoś często kłamie, zaczyna od czternastu kłamstw na tydzień (po dwa razy dziennie).

No tak: ale kto sprawdza, czy nie oszukują? — Nikt: przecież może wymówić, ile chce, żeby wygrać.

— W zeszłym tygodniu wymówiłeś 14 kłamstw, a na ten tydzień siedem: czy nie za mało?

— Wystarczy.

— A czy ci trudno nie kłamać?

— Z początku było bardzo trudno.

A oto moje doświadczone prawidła:

1. Jeżeli trudno, nie poprawiać się od razu, lecz stopniowo.

2. Wybrać na początek jedną tylko, łatwiejszą wadę, z nią naprzód zrobić porządek.

3. Nie zniechęcać się, jeżeli długo nie ma poprawy, albo nawet z początku pogorszenie.

4. Nie wymawiać za mało, brać tyle, żeby wygrać.

5. Nie cieszyć się zanadto, jeżeli się odzwyczai od razu, bo łatwo leczą się wady nabyte, a trudno — wrodzone.

Przez robienie, czego się nie lubi i nierobienie, do czego się przyzwyczaiło, — hartuje się wolę. A to jest najważniejsze. Być panem swoich rąk, nóg, języka, myśli.

Są ludzie, którzy za surowo sądzą siebie, to jest nie dobre, są tacy, którzy za wiele i za prędko sobie przebaczają — też źle. Są ludzie, którzy nie znają swoich zalet i wad — powinni je poznać.

— Gnoti seautom, — powiedział mędrzec grecki: znaj siebie!

Janusz KORCZAK

WODZOWIE RADZĄ

Z U C H Y

Wodzu Drogi!

Już z obserwacji swojej wiesz, że zuchy twoje żyją chwilą bieżącą, żyją aktualnościami. Zauważyłeś, że ich niespokojne oczy ciągle starają się wyłowić coś ciekawego dla siebie i skierowują całą swoją uwagę na to co się wokół nich rozgrywa. Szukają niecodzienności w codziennym życiu uchodźczym. Zdajesz sobie sprawę, słysząc skargi na dzieci, „pięć minut nie może na jednym miejscu usiedzieć", że to nie jest wada, a wprost przeciwnie — w strukturze fizycznej i psychicznej dziecka leży ciągła ruchliwość, niezaspokojona żądza poznania wszystkiego, co go otacza. Sztuką, i to wodzowską — jest podsuwać dziecku ciągle coś ciekawego, a zarazem by te ciekawostki kształtowały jego wyobraźnię, by przynosiły mu korzyść.

Kiedy zasiadasz do układania programu zbiórek, kominków czy innych zajęć, zapytujesz się, co one dadzą zuchom, czy zuchy przeżyją to głęboko, czy nabiorą dobrych nawyków.

Aktywność zucha powoduje, że zbiórki nasze dzielą się na tak wielką ilość działów, że prócz śpiewu, tańców mamy jeszcze ćwiczenia orientacji i mocarne turnieje, że po gawędzie idzie coś szybkiego lub głośnego, że początek zbiórki mówi o nastroju całego zajęcia, że dobre zakończenie, tajemnicze i obrzędowe — to pewna frekwencja na następnej zbiórce i, co najważniejsze, zostawia zuchowi „coś do myślenia, przetrawienia". Wiem, wodzu, że, układając zbiórkę, bierzesz to wszystko pod uwagę. Znam „zmartwienia wodzów" kiedy niejednokrotnie najlepiej pomyślana gawęda zostaje popsuta przez myszkę, która pokazała się pod szafą. Taki już jest twój smyk — „niespokojny duch". Zresztą, wodzu, przyznaj, czy odpowiada ci taki zuch „ciepłe kluski"? Lepiej mieć trochę kłopotu, ale za to z zuchem w całym tego słowa znaczeniu. Wodzowie z Kolhapuru zwykli mówić „wtedy wiem, że żyję".

Daremny wysiłek byś zrobił, chcąc zmienić psychikę twego zucha, to by było wbrew naturalnym prawom: mógłbyś uszkodzić, spaczyć go. Instynktu człowieka nie wolno hamować, a trzeba skierowywać na tory pozytywne, uszlachetniać — sublimować.

Co więc zrobić z tym zuchem, który żyje chwilą bieżącą, chce się dobrze bawić, daleki jest od wszelkich długodystansowych planów i marzeń rodziców, wychowawców czy wodza.

Odpowiedź prosta: *właśnie dobry plan pracy.*

Mając w oczach „ideał" zucha, chcesz wyrobić w swoich chłopcach, czy dziewczynkach pewne cechy, zalety, których im brak, lub które za słabo się uwydatniają, i dlatego przygotowujesz plan pracy i realizujesz go konsekwentnie. Cała sztuka polega na tym, aby przeprowadzić go

tak, by ta „sytuacja aktualna" — typowa dla dziecięcego sposobu myślenia i reagowania — była przez ciebie wykorzystana.

Przyjm więc zasadę: plan swój wypełniam dobrze, robiąc dobrze i sprytnie bieżące zbiórki. Pracując dobrze **dziś**, tworzysz automatycznie mocne **jutro**.

* * *

Idąc po ulicach miast na wschodzie, widzimy szalony brud i masę śmieci. Denerwuje nas to początkowo, z czasem coraz bardziej przyzwyczajamy się do widoku śmieci. Zuchy nasze nie reaguja na papierki, skórki, a często i pomagają w tym, że śmieci jest coraz więcej. To nasunęło mi myśl napisania artykułu pt. „Wojna śmieciom".

* * *

Na najbliższy okres czasu wypowiadamy wojnę śmieciom. Namiestnik zuchowy na odprawie „Kręgu Wodzów" opracowuje plan działania. Proponuje zbiórkę wszystkich gromad w osiedlu i uroczyste wkopanie miotły — znak rozpoczęcia działań, taniec uroczysty, np. „Grożonego", „Z nas się każdy postara". Namiestnik krótko przemówi i odczyta akt rozpoczęcia działań, na którym wodzowie poszczególnych gromad i szóstkowi złożą swoje znaki. Akt można ofiarować komendantowi osiedla. Następnie idzie śpiewanie pieśni bojowej.

— Będziemy ze wszech stron wyrzucać śmiecie,
Aż po całym świecie głos się rozniesie.
Zuchów naszych gromada
Obietnice zakłada wyrzucać śmiecie.

Po czym namiestnik nakazuje wymaszerować wszystkim gromadom na zbieranie śmieci do specjalnych koszy, każdej szóstce czy gromadzie osobno. Po upływie pół godziny - zbiórka, ogłoszenie wyników, uroczyste spalenie śmieci, taniec, obmycie rąk. Jasnym jest, że w takich bojowych miesiącach wszyscy wodzowie gromad normalną zbiórkę zaczną od wyczyszczenia izby zuchów i podwórka.

Bo porządek musi być, bez tego zuch nie może żyć.

Namiestnik melduje o swym zamierzeniu w hufcu, który odpowiednią akcję harcerek i harcerzy rozpocznie. O tej wojnie można i trzeba zawiadomić komendę osiedla. Uroczyste jej zakończenie namiestnik zrobi przy współudziale władz osiedla. To będzie od razu nasza propaganda.

Nie piszę tutaj o całym szeregu drobiazgów, które mogą wzbogacić tę wojnę ze śmieciami. Np. gromada, która była najaktywniejszą, otrzymuje białą kokardę na totem — znak zwycięstwa czystości, miejsca, gdzie znaleziono papierek, skórkę itp., może gromada znaczyć dyskretnie swym tajnym znakiem. Może ta wojna być rozpoczęciem cyklu sprawności *porządnickiego porządnickiej*. Wódz z szóstkowymi może w tym okresie odwiedzić zuchów w domu i przekonać się, czy i w jego kąciku jest porządek. Zwracać uwage na czystość jego ubrania, rąk i książek.

Wodzu, pomyśl, czy wszystkie wady, ułomności i braki w młodym charakterze zucha to nie są śmiecie.

Pomyśl jak je zwalczyć. Bo jak wojna, to wojna!

Rozpoczynasz więc, wodzu „wojnę" przeciwko śmieciom, brudowi i bałaganowi. Zwracasz uwagę, myślisz o tym, aby akcja twoja się udała i wydała wyniki. Koniecznym jest, abyś ją przeżył i wczuł się w nią.

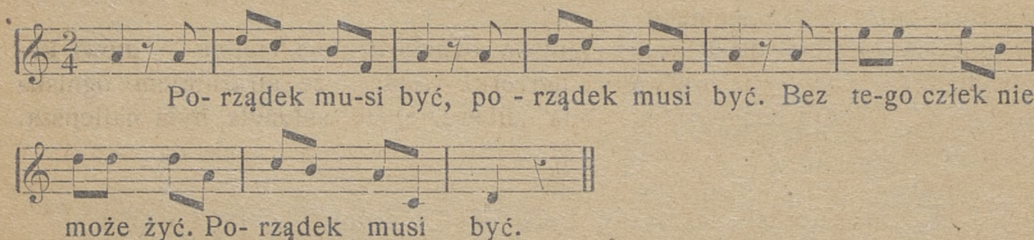
Zrobisz to w prosty sposób. Zanim rozpoczniesz działać z zuchami, nakreśl sobie w swoim własnym programie pracy nad sobą dbanie o porządek, o czystość. Ma się rozumieć, weźmiesz pod uwagę nie tylko porządek zewnętrzny, ale porządek wewnętrzny. Przez ten okres czasu będziesz się starał uczyć skupić uwagę na jednym przedmiocie, jednej pracy. Robiąc jedną z myślą w tej samej chwili o drugiej powodujesz, że jedna i druga jest mało warta. Prawda? Kiedy zasiadasz do jakiejś pracy, to postaraj się wpierw wszystko przygotować, aby niepotrzebnie nie odrywać się czy to po ołówek, książkę, papier itp. No i porządek wokół siebie. Rozumiemy się — przykład wodza i jego postawa — to rękojmia wyników.

A więc, wodzu, życzę ci, aby ta kampania była jak najbardziej owocna, boć przecież — porządek musi być.

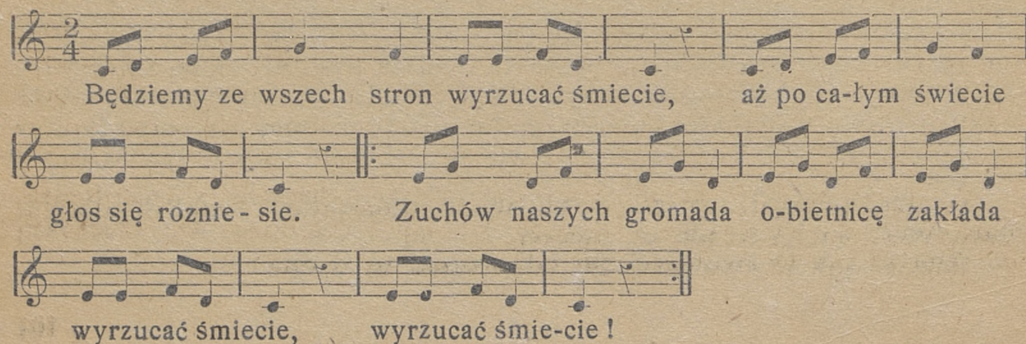
Ze względów zdrowotnych trzeba: porozumieć się z lekarzem osiedla, uważać, aby zuchy nie właziły do śmietników, do śmieciarek i aby nie brały do rąk niepotrzebnych śmieci. -- To sprawa szalenie ważna. Ogranicz wojnę do zbierania papierków, skórek itp. Uroczyste mycie rąk niech kończy zbieranie śmieci.

Zdzisław PESZKOWSKI, hm.

PORZĄDEK MUSI BYĆ



BĘDZIEMY ZE WSZECH STRON



ZIELONE PŁÓTNA

— Jedziemy. Zbiórka o godzinie 2. 30. Jedziemy na obóz — słyszało się wśród młodzieży harcerskiej osiedla Tengeru. Szczęśliwi! Szczęście to biło od nich słowami zadowolenia, gorączką przygotowań, troską o wszystko i wszystkich. Jechali na obóz, do lasu, podobnego lasu jak w Polsce. To ich rozrzewniało. Wracały wspomnienia... — wysoki, sosnowy las nad piaszczystym brzegiem rzeki, czy jeziora... — to było — zda się — tak nie dawno... Załadowanie, trochę gwaru, popychania się na małej przestrzeni lory, godzinna podróż i — jesteśmy na miejscu. Właśnie tam wśród tego lasu. A chłodny, zielony las przyjął ich z powagą i radością zarazem, jak starych znajomych, — wszak to skauci!

Zielone płótna rozpostarły się wnet między drzewami, kuchnia zadymiła siwym dymem, gdzie indziej łopaty mozolnie ryły ziemię. Stół obozowy, maszt, dół na śmieci, latryna... Praca nad urządzaniem swego własnego obejścia wre. Jestem w obozie harcerek, obozie samej starszyzny.

Posiłek, ćwiczenia, raport, opuszczenie flagi, — taki porządek dnia a wieczorem — A co będzie wieczorem? — pyta nowicjuszka.

— Wieczorem będzie ognisko, zobaczysz — odpowiada jej starsza harcerka. Przyszedł wieczór. Ciemność otuliła las, tylko w obozie są światła. Światła są przed dziką zwierzyną. A może dlatego, żeby harcerkom „było raźniej", bo podobno ktoś powiedział, że harcerki boją się. To nie prawda.

Gwizdek. Idziemy na ognisko. Otulone w koce cicho suną postacie do miejsca, gdzie będzie ognisko.

— Strażnikiem dzisiejszego ogniska będzie druhna Halina — mówi komendantka obozu. Już wszystkie harcerki wiedzą, że strażnikiem ogniska zostaje ta, która w ciągu całego dnia najbardziej się zasłużyła, była najlepszą. Halina jest szczęśliwa. Z uśmiechem, bardzo uroczyście zapala ognisko.

„Płonie ognisko i szumią knieje" płynie pieśń.

...Tak jak zawsze, tak jak w Polsce śpiewałyśmy — myśli Irka.

— Może one w Polsce też teraz śpiewają... gdzieś w ukryciu... cicho, bo tam śpiewać po polsku nie wolno, a jednak... na pewno śpiewają — myśli Irena.

Pieśni, pokazy, a potem gawęda.

Gawęda. Zasłuchane twarze. Wzrok wpatrzony w ognisko, myślą, przeżywają, chcą być lepsze. W czasie gawędy każda analizuje swoje postępowanie, krytykuje je, rodzą się pewne decyzje, zapadają postanowienia. Przy końcu modlitwa, dziękczynienie Bogu, za dzień spędzony po harcersku, za dzień szczęśliwych i radosnych przeżyć.

— „Idzie noc... w kręgu braterskim związane, śpiewają w koło dogasającego ogniska. Trzeba iść do obozu na spoczynek. Gwizdek służbowej ogłosił ciszę nocną, a wartowniczkom nakazał zdwoić czujność.

Ranek. Wstaje dzień nowych przeżyć harcerskich. Śpiew, modlitwa, śniadanie, a później ćwiczenia.

Gdy przed ćwiczeniami w czasie odprawy powiedziałem im: powinnyście być dumne, bo to jest pierwszy obóz w Afryce pod prawdziwymi namiotami i w prawdziwym lesie, dumne i szczęśliwe... — to widziałem szczery uśmiech zadowolenia i szczęścia.

To prawda, był to pierwszy obóz prawdziwy. Polska farma pana A. była bardzo gościnna.

— Dziś będzie „dzień wielkiej przygody" — mówiłem dalej — ... będzie wielka wojna harcerska.

Twarze pokraśniały z ciekawości i uciechy. Tak też było. Listy, rozkazy, szkice, sytuacje, zadania, wzpółzawodnictwo, walki podchody — było wszystko. Płynęły rozkazy z głównej kwatery cwiczeń, gońcy roznosili koperty. Otworzyć o godzinie 11.00., — zrobić wywiad gospodarczy farmy, wywiad przyrodniczy okolicy, sporządzić zielnik.

Podchody, patrole, marsze, rozkładanie biwaku. Dzień był pełen wrażeń był dzień, o którym można śmiało powiedzieć słowami Baden Powell'a „... czuję że żyję"... był to Dzień Wielkiej Przygody.

— Tworzycie obóz starszyzny — hufca harcerek w Tengeru — mówiłem im w gawędzie przy ostatnim ognisku.

... Zespoły ćwiczeń, gier, stwarzanie pewnych sytuacji do przeżyć w czasie których, jak powiada Aleksander Kamiński, *nabiera się dobrych przyzwyczajeń,* są dla waszego doskonalenia się dlatego, aby stawać się coraz lepszą i aby prowadzić innych.

— Wasze młodsze koleżanki czekają na was, a wy jako starszyzna nie możecie zawieść ich zaufania.

Widziałem wtedy w twarzach postanowienie, chęć i niezmierny zapał do pracy, do pracy nad sobą i pracy dla innych.

Romuald RZĘDZIAN, phm.

BIEG HARCERSKI W MASINDI

Początek dnia upływa normalnym trybem. Dziś mamy bieg harcerski. Do biegu stanęło 6 zastępów, a mianowicie: zastęp „Żbików", „Sępów", „Sokołów", „Rysi", „Orłów" i „Lwów". Zastępy wyruszały z obozu co 15 minut. Pierwszą przeszkodą było duże, silnie pochylone drzewo, na które trzeba było wleść. Po czym trzeba było zejść z najwyższego punktu tego drzewa po linie, która była zawiązana węzłem więziennym. Na ogół wszystko poszło dobrze. Na drugiej przeszkodzie należało ustawić maszt, wywiesić i oddać cześć sztandarowi.

Mój zastępowy nie wytrzymał tej próby nerwowo. Widząc, że nic nie wychodzi, rozzłościł się i odszedł. Zadanie przez nasz zastęp wypełnione nie zostało.

Znajdujemy się w wysokiej szorstkiej trawie. Ponieważ jest połu-

dnie słońce silnie dopieka. Zbliżamy się do następnej przeszkody, gdzie egzaminują nas z terenoznawstwa. Tu najwięcej energii i sprytu przejawia nasz podzastępowy Zygmunt. Wchodzimy do dżungli. Owiał nas chłód i surowość tropikalnego lasu. Grunt robi się bagnisty, trzeba się przedzierać przez różne raniące nogi krzewy. Na tle olbrzymich drzew wyglądamy jak małe mrówki. Idziemy we wskazanym nam kierunku, po drodze napotykamy małą strugę. Nogi grzęzną w błocie po kostki, woda jest chłodna. Czuje się w tej afrykańskiej dżungli przygniatającą moc przyrody. Przez jakieś złamane drzewo przebywamy najbardziej grząską część strumyka. O mało nie wpadłem do wody.

Teraz drogę wskazuje nam biała nitka, za którą podążamy biegiem. Odnajdujemy fikcyjnego rannego, który ma złamaną nogę. Z kii, które w pocie czoła wycinamy, i z pasów robimy prowizoryczne nosze. Złamana noga pacjenta zostaje naciągnięta i unieruchomiona, a sam delikwent odstawiony na punkt opatrunkowy. Po spełnieniu tego ofiarnego czynu maszerujemy dalej. Spotykamy nową przeszkodę, którą jest lina, po której trzeba przejść ponad mokradłem. Leziemy. Spada mi z liny noga i oglądam się w błocie. Nie tracę fantazji, pocieszam się w myślach, że nie tylko ja upadłem, bo z naszego tylko zastępu zrobiło to trzech. Znajdujemy się w tunelu utworzonym przez liany, gałęzie i liście. Teraz posuwamy się za znakami patrolowymi. Przed nami rozpościera się polana, na której rośnie druga dżungla złożona z wysokich traw, które są tak gęste, że na odległość kilku kroków nic nie widać. Podążamy jakąś dziką ścieżką i docieramy do osta niej przeszkody. Zastęp dzieli się na dwie części, zajmujemy dwa wyznaczone nam punkty.

Mamy odbyć próbę sygnalizacji, która to próba na ogół nam się udaje. Ustawiamy się w dwójki i przychodzimy do obozu. Wyglądamy jak nieboskie stworzenia, cali czarni od błota, w podartych ubraniach i z pokaleczonymi nogami. Jesteśmy z siebie radzi.

Po obiedzie, który zjedliśmy z wilczym apetytem, druh Komendant wraz z gronem sędziów przeprowadził omówienie przebiegu naszego biegu harcerskiego w Massindi i przeprowadził punktację. Okazało się, że nasz zastęp zajął czwarte miejsce. Dużych różnic w czasie nie było, najprędzej przybył wyznaczoną trasę zastęp ,,Żbików" — 1 godz. 52 min. Najdłużej zaś szedł zastęp ,, ... " — 2 godz.

Druh Komendant był zadowolony z zawodów. Bieg był dobry i dobrze urządzony. Były także pewne usterki, np. jeden z druhów zaczął kopać dołek siekierą, znowu w niektórych zastępach na czoło wybijał się jakiś harcerz, a zastępowy zamiast dowodzić pozostawał bezczynny. Wielu lekceważyło bieg i sędziów. No i, jak to uczynił nasz zastępowy, załamali się nerwowo.

Wacław LATAWIEC



Koło Przyrodników im. Kopernika w Palestynie wydało już 5. numer czasopisma pt. PRZYRODA. Zawiera on 17 prac naukowych i dwa wspomnienia.

Prof. dr Kazimierz Rouppert, który to pismo redaguje, pisze o zmarłym w kwietniu 1944 roku biologu polskim prof. K. Piechu. Prof. Piech, przebywając w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu, nabawił się zapalenia stawów, co spowodowało przedwczesną śmierć. Nauka polska poniosła wielką stratę.

Prace naukowe zamieścili: prof. Rouppert: O kauczuku w łupinach bananów, Limba i róża pęcherzykowata na jej pędach wTatrach. S. Mazurkiewicz: Jak utrwalono nazwisko M. Kopernika w mianownictwie światowym. L. Baranowska-Błotnicka: Żubry. J. Radlińska: Klasyfikacja gruntów na obszarze Polski. S. Tkaczyk: Fluorescencyjne działanie chininy na drobne organizmy. S. Legeżyński: Shatt-al-Arab — a zmiany Zatoki Perskiej — ilustrowane mapką. W. Płoski: Gospodarstwo doświadczalne U. J. w Mydlnikach pod Krakowem. A. Laśkiewicz: Schorzenia narządu słuchowego u lotników. Zmysł czucia węchu i słuchu na usługach osobnika w stosunku do otoczenia.

Znany przyjaciel Polaków, J. Loch, pisze o kwiecie słonecznika. A. Bursa o maskowaniu się krabów: ilustr. 3 rys. Bursowej. W. Błotnicki: Zagadnienie gospodarski leśnejw Polsce po wojnie. S. Krupko: O szczawiku zwisłym w Śródziemnomorzu. W. Stec-Rouppertowa: Zapiski teratologiczne z Palestyny. Przyczynek do znajomości mykoflory Palestyny. R. Bębenek: Rozwiązanie dziewięcioboku umiarowego.

Poprzednio Koło Przyrodników wydało: Mikołaj Kopernik - praca 6 autorów, Leonardo do Vinci - prof. dr A. Laśkiewicza, Kosmos - praca 11 autorów, Wszechświat-praca 10 autorów. Jak widać, działalność naukowa Koła Przyrodników rozwija się z każdym rokiem a udział w niej prof. Roupperta jest bardzo żywy i szczególnie ważny w obecnych czasach.

Wydawnictwa Koła znaleźć się winny we wszystkich naszych bibliotekach i zbiorach prywatnych.

Mgr Stefan LEGEŻYŃSKI



I. *Pytanie:* Kiedy „wuj" pisze się przez „ó"?
Odpowiedź: Kiedy zaczyna lub kończy się on na „t" (twój — wójt)

II. *Zakład:* W świetlicy żołnierskiej dwaj strzelcy, Jan i Adam grają w szachy na następujących warunkach:

1) ilość partyj ściśle określona na 10,

2) za każdą przegraną grę płaci się przeciwnikowi 100 mls (setkę).

Warunkom tym przysłuchuje się trzeci strzelec Roman i robi z graczami zakład, a mianowicie:

1. Jeżeli ostateczna przegrana jednego z graczy wynosić będzie *nieparzystą* liczbę setek milsów (np. 3, 5, 7 setek itd.) — to Roman zwraca przegrywającemu podwójną liczbę setek milsów (a więc 6, 10, 14 itd.).

2. Jeżeli natomiast ostateczna wygrana jednego z graczy wynosić będzie liczbę *parzystą* setek milsów (np. 2, 4, 6 setek itd.) — to całą wygraną wygrywający przekazuje Ramanowi.

Zakład stanął. Jakie szanse wygrania zakładu mają obie strony?

III. *Dzielenie przez* 11. Mamy dowolne wielocyfrowe liczby, np. 372, 4567, 6288942, 9683718, 1387245. Można z góry określić, że pierwsze trzy z nich dzielą się bez reszty przez 11 a ostatnia — nie. Jak to zrobić?

Należy sumę cyfr na miejscach nieparzystych odjąć od sumy cyfr na miejscach parzystych (lub odwrotnie). Jeżeli różnica wyniesie 0, 11 lub wielokrotność 11, a więc: 22, 33, 44 itd. — to cała liczba dzieli się przez 11, w innym wypadku — nie dzieli się. A więc np. w pierwszym przykładzie 3724567

suma cyfr miejsc nieparzystych	$= 3 + 2 + 5 + 7 = 17$
suma cyfr miejsc parzystych	$= 7 + 4 + 6 = 17$
	różnica $= 0$

Sprawdź inne dowolne przykłady.

Wlak

RZECZY CIEKAWE

Od czego zależy nasze życie

Nikt by nie przypuszczał, że życie ludzkie zależne jest od tak marnych i niepokaźnych stworzeń jak bakterie. A tak jest w rzeczywistości. Uczeni dowodzą, że gdyby nie było bakterii, ziemia wkrótce pokryłaby się masą nierozłożonych roślin i zwierząt. Życie wtedy musiałoby ustać, gdyż ograniczona ilość węgla, azotu w przyrodzie byłyby chronicznie połączone w tych martwych ciałach organicznych. Wiemy zaś dobrze, że bez tych dwóch pierwiastków nie może istnieć życie. Działalność mikroskopijnych stworzeń uaktywnia i użyźnia naszą ziemię.

Istnienie większych roślin, zwierząt i człowieka zależy od pracy drobnoustrojów, znajdujących się na ziemi.

Bakterie są bardzo szeroko rozpowszechnione w przyrodzie. Najwięcej jest ich na powierzchni ziemi, a liczba ich zmniejsza się dość szybko, w miarę posuwania się w głąb ziemi lub ponad jej powierzchnię.

Każde środowisko ma swoje typowe mikroby, bowiem każdy ich gatunek może żyć, rozwijać się w określonej temperaturze i wilgotności i odżywiać się tylko specjalnymi rodzajami pożywienia.

W jednym gramie żyznej gleby ilość bakterii dosięga zawrotnej liczby 75.000.000. —

Cud techniki

Ostatnio skonstruowany przyrząd elektryczny wymaga specjalnej rurki o następujących fantastycznych wymiarach: zewnętrzny obwód — 19/10.000 cala, grubość ścianki — 75/100.000 cala, wewnętrzny obwód — 4/10.000 cala.

Rurka ta jest cieńsza od żądła komara i jest doskonała pod względem wymiarów.

Z jednego funta czystego niklu można zrobić osiemnastomilową włoskowatą rurkę o powyższych wymiarach. —

Pająk może usnuć jeszcze cieńszą niteczkę, lecz nie będzie to rurka.

Powojenny samochód

Od trzech lat wielkie amerykańskie fabryki samochodów, jak Ford, Chevrolet, Buick czy Chrysler, które poprzednio zaopatrywały w swe wyroby cały świat, produkują wyłącznie samoloty lub czołgi. Nic więc dziwnego, że ogólnie przypuszcza się, iż natychmiast po zakończeniu wojny, powstanie wielki popyt na auta osobowe. Przemysł amerykański sądzi, że w pierwszych 5-ciu latach pokoju wyprodukuje ich 20.000.000.

Uchodzi za pewne, że pierwszy model „powojenny" niczym prawie nie będzie się różnić od modelu „przedwojennego". Opracowanie nowego modelu trwa bowiem sześć miesięcy, doświadczenia z nim drugie tyle, a uruchomienie masowej produkcji dalszy rok. Jedynym nowym modelem — nieznanym przed wojną — będzie oczywista łazik (jeep), który będzie miał wielostronne cywilne zastosowanie, jak np. lekki traktor, lekka ciężarówka, jako źródło energii, a w końcu także jako auto osobowe.

Specjaliści przypuszczają, że powojenna myśl konstruktorska dążyć będzie do opracowania coraz to lżejszych modeli. Mniej więcej w 3 lata po wojnie, przeciętny samochód średniej wielkości ważyć będzie 900 kg i zaopatrzony będzie w motor z kompresorem, używający wysoko oktanowej benzyny, co pozwoli na zaoszczędzenie 20-25% paliwa. Poza tym zmiana biegów będzie automatyczna i jak najmniej skomplikowana. Resory będą miały pneumatyczne części gumowe, a wszystkie cztery koła zawieszone będą na oddzielnych osiach.

Model, jaki ukaże się w 5 lat po wojnie, będzie miał motor z tyłu. Taki samochód będzie znacznie wygodniejszy: brak wału napędowego umożliwi bardzo niskie osadzenie podłogi — pasażerom nie będzie dokuczać hałas, gorąco i odór motoru. Za lat 10 pojawić się mogą w produkcji masowej wielcy konkurenci samochodu: helikopter lub samolot małego typu.

LONDYN

LONDYN, 14. I. (PAT). Premier Arciszewski przyjął Komitet Naczelny Związku Harcerstwa Polskiego i oświadczył, co następuje:

„Harcerze odgrywają ważną rolę w życiu Polski. Udział harcerzy w walce o niepodległość Polski jest powszechnie znany, jak również ich skuteczna służba na polu podniesienia i wychowania młodego pokolenia, pełniona w okresie niezależności naszego Państwa. W czasie obecnej wojny harcerze w polskim ruchu podziemnym, wierni swym ideałom i tradycji, pełnią służbę nie tylko na polu wychowania, lecz również w walce z nieprzyjacielem i zasłużyli się na tym polu swą wydajną pracą i ofiarami.

Harcerze polscy muszą obecnie spełnić poważną rolę również i poza Krajem. Winni oni wykonać zadanie rozwijania charakteru i stanu fizycznego młodzieży w ośrodkach uchodźczych. Powinni oni propagować wśród młodzieży węzły łączące ją z Krajem ojczystym. Po odzyskaniu niepodległości czekają harcerzy wielkie zadania na polu wychowania młodego pokolenia i odbudowy Polski.

Niechaj zasady bezinteresownej i nieegoistycznej służby dla dobra ogólnego staną się zasadami całej polskiej młodzieży. W głoszeniu i realizowaniu uczuć braterstwa wśród młodzieży wszystkich krajów, harcerze winni przyczynić się do osiągnięcia i umocnienia sprawiedliwości społecznej i sprawiedliwego pokoju.

Pozdrawiam serdecznie — zakończył Premier — wszystkich polskich harcerzy i harcerki, którzy się znajdują w Polsce, w Armii Polskiej i na uchodźctwie, życząc im, by ich praca w służbie dla Polski była owocna".

Dr Michał Grażyński, przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego, który stanowisko to objął w roku 1939 na nowe trzechlecie, znajduje się obecnie na terenie Wielkiej Brytanii. Pomimo, że nie bierze bezpośredniego udziału w pracach harcerskich na obczyźnie, jednak żywo interesuje się przejawami życia harcerskiego. Niżej podajemy treść jego listu.

Druh Zygmunt Szadkowski, wiceprzewodniczący Rady Związku Harcerstwa Polskiego na Wschodzie.

Kochany Druhu!

Dziękuję jak najserdeczniej za nadesłane życzenia i proszę w moim imieniu podziękować za nie wszystkim harcerkom i harcerzom. Sprawiły one mi dużą radość, jako dowód tego uczuciowego stosunku, jaki w naszej organizacji zawsze był wielką wartością, a jaki przetrwał i stał się wśród najcięższych przejść wojny i tułaczki emigracyjnej — czynnikiem naszej organizacyjnej spoistości.

Ze swej strony przesyłam Wam wszystkim życzenia dobrego Nowego Roku, tj. takiego roku, który by Polsce przyniósł prawdziwą wolność w nienaruszonych granicach na wschodzie, a w poszerzonych na zachodzie, który by dał nam wszystkim radosny powrót do Ojczyzny.

W momencie, kiedy piszę te słowa, Polska przeżywa bardzo ciężkie chwile, ale właśnie ten fakt nakazuje nam zachować pełną wiarę w zwycięstwo, każde bowiem zwątpienie w momencie walki jest początkiem klęski. Całość, wolność i niepodległość Polski jest hasłem, i wyznaniem wiary całego harcerstwa tak w Kraju, jak i za granicą. Ale nie tylko hasłem, ale i treścią walki i pracy.

Niech Wam szczęście sprzyja w Waszej dobrej robocie harcerskiej, a uśmiech zwycięskiej wiary towarzyszy wtedy, kiedy się zdawać będzie, że wszystkie wiatry wieją przeciw nam.

CZUWAJ!

Przewodniczący ZHP. Dr Grażyński

POLSKI RUCH HARCERSKI WE FRANCJI

LONDYN, 11. III. (PAT). W dniach 3 i 4 marca b.r. odbyła się w La Chapelle (Oise) konferencja instruktorów i instruktorek polskiego ruchu harcerskiego we Francji w obecności p. Kapiszewskiego, międzynarodowego komendanta i członka głównego komitetu polskiego harcerstwa w Londynie.

* * *

„Związek Harcerstwa Polskiego na Wschodzie wita polską młodzież harcerską i instruktorów na terenie Francji, Belgii i Holandii, którzy po okresie trudnej i niebezpiecznej pracy w podziemiach wznowili swą publiczną działalność, stwierdzając tym, że w każdej sytuacji Harcerstwo stoi twardo przy swych ideałach służby Bogu i Polsce.

Wiceprzewodniczący Rady ZHP. n.W
Zygmunt Szadkowski, hm.

A F R Y K A

DIGGLEFOLD

Nie przypuszczałam, iż sądzonym mi będzie być obecną w Salisbury, stołecznym mieście Połd. Rodezji, na wystawie robótek, wykonanych przez uczennice i harcerki z Digglefold. Znalazłam się tam jednak, jako bardzo ważna „kierowniczka“ robótek harcerskich wraz z trzema młodszymi koleżankami, których wkład był największy, jeśli chodzi o pracę i wykonanie.

W przeddzień wystawy jeździłam z p. Konsulową i z p. Otwinowską do Women Institute, gdzie miała być wystawa. Podczas, gdy panie omawiały różne sprawy, ja popijałam herbatę z mlekiem. Bałam się, by przypadkiem któraś z pań Angielek nie zapytała mnie o cośkolwiek. Wtedy wsypa na całego, bo mój angielski jest rozpaczliwy. Na szczęście nikt nic nie chciał ode mnie.

Śniadanie następnego dnia zjadłyśmy w tempie rekordowym. Ledwie zdążyłyśmy ubrać się w kostiumy krakowskie, gdy już była p. Konsulowa i razem obładowane kwiatami pojechałyśmy na miejsce wystawy. Po dwugodzinnych przygotowaniach wystawa była ładnie urządzona. Kilka kompletów rozłożonych na fotelach wyglądało bardzo efektownie, inne robótki zostały poukładane na stołach, stolikach, pianinie a poduszki na dwu kanapach.

Punktualnie o godz. 10 zaczął się „napad“ w całym tego słowa znaczeniu. Sala wypełniła się po brzegi. Każda z pań trzymała w ręku po kilka robótek, oglądając się za kasjerką. Po pół godzinie, na „pobojowisku“ pozostały jaśki, kilka zakładek, chusteczek, poduszek. Robótki zostały zakupione już w Digglefold albo w Salisbury, ale pozostawione na czas trwania wystawy.

Po południu została wysprzedana reszta rzeczy, tylko biedne jaśki nie miały powodzenia w stolicy, ale to tylko dlatego, iż nie były haftowane wzorami o motywach polskich, ale „międzynarodowymi“. Okazało się więc, że nie ma nic piękniejszego nad to, co nasze, co polskie.

Dochód ze sprzedaży został przeznaczony na pomoc dla sierot Warszawy.

Eleonora Dolińska

I R A N

Z tygodnia skautowego w Teheranie

Skauting irański w ścisłym tego słowa znaczeniu nie istnieje od czasu wkroczenia wojsk alianckich na teren Iranu w r. 1942. Jest natomiast przy szkole Misji Amerykańskiej w Teheranie drużyna skautowa, członkowie której należą do jedenastu narodowości: Persowie, Irakczycy, Niemcy, Czechosłowacy, Norwegowie, Węgrzy, Rosjanie, Amerykanie i inni. Drużynowym ich jest podoficer armii Stanów Zjednoczonych Sam Skaff, skautmistrz, a jego przybocznym — skautmistrz Jimmy Drake, podof. armii brytyjskiej. Chłopcy noszą mundury kroju naśladującego mundur żołnierzy amerykańskich.

Dnia 8 lutego br. zaczął się w tej drużynie tydzień skautowy w ramach tygodnia skautowego w Ameryce. Drużyna bowiem jest zarejestrowana w Związku Skautów Ameryki (Boy Scouts of America). Na uroczyste otwarcie tygodnia zostali zaproszeni nasi harcerze i harcerki. Udaliśmy się więc na tę uroczystość bratniej nam organizacji w liczbie dwudziestu kilku luda.

Znaleźliśmy się najpierw w izbie skautowej na terenie Misji Amerykańskiej. Izba znajduje się w piwnicy, co w upalne tutejsze lato jest idealną okolicznością. Poczęstowano nas miejscowym zwyczajem od razu szklaneczką herbaty i ciasteczkami, a potem proszono, by „czuć się jak u siebie w domu". W izbie skautowej podobał nam się pomysłowy fryz, biegnący pod sufitem dokoła izby, złożony z kolorowych kół-odznak sprawnościowych. Duża tablica z kilkudziesięciu węzłami skautowymi oraz oświetlona od wewnątrz tarcza z prawem i przyrzeczeniem skautowym, pociągnęły również naszą uwagę. Poza tym ściany są ozdobione sztandarami narodów sprzymierzonych, sztandarem drużyny oraz godłami zastępów.

Wszyscy chłopcy tej drużyny mówią po angielsku, nawet między sobą, choć znają inne języki. Kilkakrotne próby z mojej strony nawiązania rozmowy w języku perskim spełzły na niczym, bo chłopcy uparcie odpowiadali mi po angielsku. Trzeba było zatem przejść na ten język. Szczegół ten nie jest bez znaczenia, świadczy bowiem o duchu wychowawczym w drużynie.

O godz. 19 zaczęła się wieczornica harcerska. Słuchaliśmy wyczynów orkiestry skautowej i oglądaliśmy udane inscenizacje z życia skautowego. Jeden z pierwszych punktów programu wykonały nasze harcerki, które w cztery pary odtańczyły krakowiaka w krakowskich strojach, zyskując sobie rzęsiste oklaski licznie zgromadzonych rodziców i opiekunów skautów teherańskich. Głównym punktem jednak wieczoru było przyznanie stopni skautowych oraz licznych sprawności członkom drużyny. Każdy z czterech instruktorów (na 46 chłopców!) wręczał odznakę swojej specjalności.

Pomysł nadawania sprawności i stopni skautowych wobec rodziców i opiekunów wydaje mi się bardzo roztropny i godny do naśladowania.

Wieczór, spędzony u skautów teherańskich, pozostawił bardzo miłe wrażenie. Zaznaczę, że był on rewanżem za poprzednie zaproszenie ich przez nasze harcerki na jedną ze zbiórek.

Na zakończenie przytoczę piękne słowa, które były wypisane na litografowanym programie wieczoru, a umieszczone pod rysunkiem, przedstawiającym okno gotyckie a w nim dużą płonącą świecę:

Spirit of scouting will ever glow in lives of men!

Zaiste, w kim raz zapalił się płomień umiłowania ideałów harcerskich, w tym będzie on płonął przez całe życie!

Franciszek Machalski, hm.

